WIENIEC

PISMO POSWIĘCONE

LITERATURZE POWIEŚCIOWÉJ.

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

Rok drugi, Tom XII.

MIESIĄC MARZEC

WARSZAWA

1841.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

COLOMBA.

przez Prospera Merimée

W piérwszych dniach miesiąca Listopada 181... stanął w hotelu Beauveau w Marsylji pułkownik angielskiéj armji, sir Thomas Nevil, rodem irlandczyk, wraz z córką swoją, po odbytéj podróży po Włoszech. Ciągłe i nieustanne pochwały zapalonych podróżników

spowodowały drugą ostateczność; wiele osób dla odznaczenia się wybierają sobie za dewizę nil admirari Horacjusza. Do téj klasy nieukontentowanych podróżników należała także miss Lidja, jedyna córka półkownika. Podług jéj zdania » W niebo-wzięcie" było dziełem bardzo mierném, a wybuch Wezuwjusza mało więcéj godny widzenia jak komin maszyny parowéj w Birmingham. Jéj zarzuty zmierzały w ogólności do tego, że Włochy nie mają miejscowego kolorytu i charakteru. Niechaj kto chce wytłumaczy znaczenie słów tych; ja dawniéj je rozumiałem, lecz teraz zupełnie nie pojmuję. Miss Lidja pochlebiała sobie że za Alpami znajdzie takie rzeczy, które nikt jeszcze przed nią nie oglądał; lecz wszędzie już uprzedzili ją jéj ziomkowie; straciwszy więc nadzieję znalezienia czegóś nieznanego, przyłączyła się do partji opozycyjnéj. Bezwątpienia, jest to rzecz bardzo nieprzyjemna, iż niepodobna jest opowiadać cóśkolwiek o arcydziełach włoskich, żeby któś nie przerwał: » Zapewne widzia-

łeś owe dzieło Rafaela w pałacu...? Ono najpiękniéjsze jest w całych Włoszech. » A właśnie tego się nie widziało. Kiedy więc zawiele czasu i trudów potrzeba aby wszystko widziéć, łatwiéj jest i wygodniéj zaraz wszystko zganić i uznać niegodném widzenia.

W hotelu Beauveau miss Lidja jeszcze raz gorszko zawiedzioną została w swych nadziejach. Ona wiezła z sobą piękny rysunek bramy pelazgijskiéj, albo raczéj cyklopów w Segui, którą, jak sądziła, nikt jeszcze nie przerysował. Lady Frances Fenwick znajdująca się naówczas także w Marsylji pokazała jéj swój imiennik, w którym pomiędzy sonetem i suszonym kwiatem znajdowała się ta brama nastarnnie odmalowana. Miss Lidja dała natychmiast swoję bramę z Segui swéj pokojówcę i straciła wszelki szacunek dla ruin pelazgijskich.

To zniechęcenie swéj córki podzielał także pułkownik Nevil, który od śmierci żony zapatrywał się na wszystko oczami swéj Li-

dji. Podług jego zdania Włochy ściągnęły na siebie największą winę przez to, iż znudziły jego córkę, a tém samém były najnudniejszym krajem w świecie. Wprawdzie nie potrafił on nic wyrzec względem obrazów i posągów; lecz to utrzymywał z pewnością że polowanie w tym kraju jest rzeczą bardzo nędzną, i że potrzeba przez dziesięć godzin biegać po okolicach Rzymu, wśród skwaru słonecznego, aby zastrzelić parę nikczemnych kuropatw.

Następnego dnia po przybyciu do Marsylji, zaprosił on do siebie na obiad kapitana Elis, swego dawnego adjutanta, który sześć tygodni przepędził na Korsyce; kapitan zabawiał miss Lidję, opowiadając jéj bardzo dobrze powieść o bandytach, któraten miała przymiot, iż zupełnie niepodobną była do tych, jakiemi rozrywano ją często w podróży z Rzymu da Neapolu. Kiedy po skończonym obiedzie dwaj wojskowi pozostali sami przy przy butelce wina, zaczęli rozmawiać o polowaniu, i pułkownik dowiedział się że w za-

dnym kraju polowanie nie jest tak piękne, rozmaite i korzystne, jak w Korsyce.

—Można tam widzieć, wiele dzikich świń, mówił kapitan, które należy wyuczyć się rozróżniać od swojskich, gdyż są bardzo do nich podobne; kiedy kto zabije domową świnię, musi rozprawić się o to z pasterzami. Oni wyskakują z zarośli, zwanych w krajowym języku Maquis, uzbrojeni od stóp do głów, każą sobie za bydlę zapłacić i żartują jeszcze ze strzelca. Znajduje się także pewien rodzaj dzikich baranów, bardzo osobliwe zwierzę, lecz trudne do podejścia, są także jelenie, bażanty, kuropatwy, słowem, takie mnóstwo zwierzyny, iż zliczyć jéj niepodobna. Jeżeli pan jesteś lubownikiem polowania, jedź pan do Korsyki; tam pan możesz strzelać do wszelkiéj zwierzyny, jak wyraził się jeden z moich gospodarzy, począ wszy od bekasów aż do człowieka.

Przy herbacie, opowiedział kapitan miss

Lidji innę powieść o vendette transversale *) jeszcze dziwniejszą jak piérwsza, i gdy przy tém opisał jéj dziki widok tego kraju, orginalny charakter mieszkańców i ich patryarchalne obyczaje, zapalił zupełnie wyobrażnią miss Lidji względem Korsyki. W końcu złożył u nóg jéj piękny, mały sztylet, który bardziéj odznaczał się przez swoję historję, niżeli przez kształt i oprawę. Sławny bandyta podarował go kapitanowi Elis, i zapewnił iż nim czterech ludzi zamordował. Miss Lidja włożyła go za pas i dwa razy wyjęła z poochwy, nim się spać położyła. Pułkownik zaś marzył iż ubił dzikiego barana, i że właściciel żądał wynagrodzenia za niego, które on z chęcią zapłacił, gdyż to był był bardzo piękny zwierz, wyglądał jak dzik, lecz miał jelenie rogi i pawi ogon.

---

*) Tak się zowie zemsta wywarta na bliższym lub dalszym krewnym tego, który wyrządził zniewagę.

— Elis powiada że na Korsyce wyborne polowanie, mówił półkownik nazajutrz przy śniadaniu, gdyby nie tak daleko, moglibyśmy kilkanaście dni tam przepędzić.

— Dlaczegóż nie mamy jechać do Korsyki? odpowiedziała miss Lidja, kiedy ty ojcze będziesz zabawiał się polowaniem, ja rysować będę; toby mi sprawiło wielką przyjemność, gdybym do mojego album dostała grotę, w któréj Bonaparte uczył się, jak był dzieckiem. Piérwszy to raz może życzenie przez półkownika objawione otrzymało potwierdzenie córki. Chociaż on nadzwyczaj był uradowany tą niezwykłą i niespodziewaną zgodą, czynił jednak na pozór jeszcze niektóre zarzuty, aby tém bardziéj miss Lidją zapalić. Napróżno przedstawiał jéj nadzwyczajną dzikość tego kraju i utrudzającą podróż po nim, zwłaszcza dla kobiéty; ona nie obawiała się niczego; konna jazda była dla niéj naj-

przyjemniejszą i cieszyła się już naprzód, iż będzie nocować pod szałasem, a nawet zagroziła podróżą do małéj Azji. Co za szczęście byłoby dla niéj, gdyby mogła pokazać swoje album po powrocie do Londynu! »Dla czego przerzucasz pani ten piękny rysunek? — O, to nic, to tylko jest szkic ze sławnego korsykańskiego bandyty, który nam służył za przewodnika. — Jakto, pani byłaś na Korsyce?!”

Ponieważ nie było jeszcze naówczas pomiędzy Francją i Korsyką stałéj komunikacji parowemi statkami, przeto należało wywiedzieć się o okręcie, któryby odpływał do téj wyspy. Jeszcze tego samego dnia napisał półkownik do Paryża, aby odwołać uczynione zamówienie pomieszkania na czas ich pobytu w tém mieście, i ugodził się z kapitanem korsykańskiéj galjoty, która odpływała do Ajaccio. Zaopatrzono się w żywność, a kapitan zapewnił z grubém przekleństwem, że jeden stary majtek na statku jest wybornym kucharzem, i przyrzekł młodéj damie wszelkie

wygody, przyjazny wiatr i spokojne morze. Stosując się do życzenia córki, zawarował sobie nadto półkownik aby kapitan nie przyjmował żadnego innego pasażera, i o ile być może, płynął najbliżéj brzegów aby można dobrze widzieć góry.

II.

W dniu oznaczonym wszystko było zapakowane i od rana już na pokład zniesione; galjota wypłynąć miała z wieczornym wiatrem. Półkownik przechodził się tymczasem z swą córką nad kanałem portowym. Nagle przystąpił do niego kapitan i prosił o po-

zwolenie, aby mógł wziąść na pokład swojego krewnego, to jest kuzyna chrzestnego ojca swego najstarszego syna, który powraca w naglącym interesie do Korsyki, swéj ojczyzny, i nie może znaleść statku, któryby tam odpływał. — To jest dzielny chłopak, dodał kapitan Mattei, wojskowy, oficer gwardji strzelców pieszych, a nawet niezawodnie wkrótce i półkownik.

— Ponieważ on jest żołnierzem, rzekł półkownik i chciał dodać, to nie mam nic przeciwko temu aby jechał z nami. Lecz miss Lidja zawołała po angielsku.

— Oficer od piechoty (ojciec jéj służył w konnicy, dla tego pogardzała wszelką inną bronią) to może człowiek bez edukcji; dostanie morskiéj słabości i zepsuję nam całą przyjemność podróży!

Kapitan nie rozumiał ani słowa po angielsku, zdaje się jednak iż domyślał się co miss Lidja mówiła, gdyż zaczął rozwodzić się z długą pochwałą swojego krewnego i zakończył tém zapewnieniem, że to jest

bardzo grzeczny i ukształcony człowiek, z familji kaprałów, i że nie będzie wcale uciążliwym panu półkownikowi, ponieważ on go umieści na statku w takiém miejscu, aby obecność jego nie była dostrzeżoną.

Nie mało to zadziwiło półkownika i miss Lidją że w korsyce znajdują się rodziny, w których godność kaprala przechodzi z ojca na syna; lecz gdy się dowiedzieli że tu chodzi tylko o kaprala piechoty, wnieśli ztąd, że to zapewne jakiś biédak, którego kapitan prawie z litości przyjmuje. Gdyby to był oficer, to trzebaby z nim rozmawiać, z nim żyć wspólnie; lecz z kapralem nie trzeba się przymuszuć, gdyż on nic nie znaczy, wyjąwszy tylko w tym razie, kiedy przychodzi na czele swéj komendy, z bagnetem na karabinie, aby zaprowadzić kogo w takie miejsce, gdzie on sobie iść nie życzy.

— Czy krewny pana cierpi słabość morską? zapytała miss Lidja.

— Nigdy, pani. Jego serce jest niewzruszone równie na morzu jak na lądzie.

— No, to możesz go pan zabrać, dodała.

— Możesz go pan zabrać, powtórzył półkownik i zaczął daléj przechadzkę z swą córką.

Około piątéj wieczorem przybył kapitan Mattei aby ich odwieść na pokład galjoty. Na szalupie obok kajuty kapitańskiéj, znajdował się wysoki, młody człowiek w niebieskim surducie zapiętym aż po szyję, z twarzą ogorzałą, czarnemi żywemi oczami i szczerą, pełną wyrazu fizjonomją. Z całéj jego postawy, z małych zakręconych wąsów, poznać można było łatwo żołnierza, gdyż w owym czasie nie sięgały wąsy jeszcze do nóg, i gwardja narodowa nie wprowadziła do każdéj familji wojskową powierzchowność.

Młodzieniec uchylił czapkę skoro zobaczył półkownika i podziękował mu bez

zakłopotania i w słowach dobranych za grzeczność, jaką mu wyświadczył.

— Cieszę się że mogłem panu przysłużyć się, odpowiedział półkownik przyjaźnie skłoniwszy głową i wszedł do kajuty.

— Twój anglik nie wiele jak widzę robi sobie przymusu, rzekł młodzieniec do kapitana w języku włoskim.

Ten ostatni przyłożył wskazujący palec do lewego oka i ściągnął usta, co oznaczać miało, jak to każdy wié, kto zna język na migi, że anglik rozumié po włosku i jest dziwacznym człowiekiem.

Młodzieniec uśmiechnął się i dotknął ręką swojego czoła odpowiadając na znak kapitana Mattei, przez co chciał powiedzieć że wszyscy anglicy mają cóś osobliwego w głowie; usiadł potém obok kapitana i przypatrywał się z uwagą, lecz zarazem z wszelką przyzwoitością pięknéj towarzyszce podróży.

— Francuzcy żołnierze mają wyborną postawę, rzekł półkownik po angielsku do

swéj córki, możnaby z nich łatwo oficerów porobić.

Potém obróciwszy się do młodego człowieka zapytał po francuzku: —W którym pan pułku służyłeś?

Młodzieniec trącił lekko łokciem swojego krewnego, przytłumił szyderski uśmiech i odpowiedział, że służył dawniéj w gwardji pieszéj strzelców, a obecnie przybywa z siódmego pułku lekkiéj piechoty.

—Czy pan byłeś pod Vaterloo—Jesteś pan jeszcze bardzo młody.

— To téż była moja jedyna kampańja.

— Można liczyć ją podwójnie, odparł pułkownik.

Młody korsykanin przygryzł sobie usta.

— Ojcze, rzekła miss Lidja, spytaj się téż, czy korsykanie kochają swego Bonapartego.

Piérwéj nim pułkownik zdołał przełożyć to pytanie na francuzki język, odpowiedział młodzieniec zupełnie dobrze po angielsku, chociaż cokolwiek cudzoziemskim akcentem: — Pani wiész, że prorok w swoim kraju nie wielkie ma znaczenie. My ziomkowie Napoleona kochamy go może mniéj niżeli Francuzi. Lecz ja — kocham go i podziwiam, chociaż nasze rodziny w nieprzyjaznych od dawna żyły stosunkach.

— Pan mówisz po angielsku? odezwał się pułkownik.

— Bardzo źle, jak pan słyszysz.

Chociaż miss Lidji lekki sposób mówienia młodzieńca nie bardzo się podobał, myśl ta jednak o osobistéj nieprzyjaźni pomiędzy kapralem i cesarzem pobudziła ją do śmiechu. To było niejako próbką osobliwości Korsyki, i postanowiła rys ten w dzienniku swoim zapisać.

— Zapewne pan byłeś w niewoli w Anglji? zapytał znowu pułkownik.

— Nie, panie pułkowniku; uczyłem się angielskiego języka bardzo młodo jeszcze we Francji, od jeńca, anglika.

Potém obróciwszy się do miss Nevil rzekł:

— Matei mówił mi że pani przybywasz z Włoch. Zapewne mówisz pani czysto po toskańsku; obawiam się czyli nie z trudnością przyjdzie pani zrozumiéć nasz djalekt.

— Moja córka rozumié wszystkie włoskie djalekta, odpowiedział pułkownik, ona szczególny posiada dar nauczenia się języków; mnie bezwątpienia nie idzie tak łatwo.

— Czy téż pani zrozumié na przykład te wiérsze z naszéj korsykańskiéj śpiewki? Pastérz mówi do pasterki:

S'entrassi ' ndru Paradisu, santu, santu,
Et nun truvassi a tia, mi n' esciria.

Miss Lidja zrozumiała je, znalazła jednak cytację tę zanadto śmiałą, a bardziéj jeszcze

spojrzenie, jakie jéj towarzyszyło i odpowiedziała zapłoniwszy się: Capisco (rozumiem)

— Pan zapewne za urlopem udajesz się do swéj ojczyzny? zapytał pułkownik.

— Nie, panie pułkowniku: odesłano mnie z połową żołdu, zapewne dla tego, ponieważ byłem pod Waterloo i jestem ziomkiem Napoleona. Powracam do domu mało mając nadziei, a mniéj jeszcze pieniędzy, jak to dawna piosnka powiada.

I spojrzał z westchnieniem ku niebu.

Pułkownik sięgnął do kieszeni, obracał pomiędzy palcami dukata i rozmyślał nad przemową, aby go w przyzwoity sposób swemu nieszczęśliwemu nieprzyjacielowi w rękę wsunąć.

— I mnie także, rzekł wesoło, przeznaczono połowę żołdu; lecz... pan za swoję połowę i tytoniu sobie kupić nie możesz. Przyjmij to kapralu.

To mówiąc chciał wsunąć piéniądz w zamkniętą rękę, którą młodzieniec trzymał na brzegu statku.

Korsykanin zaczerwienił się, wyprostował, przygryzł usta i zdawało się iż chciał z gwałtownością odpowiedziéć; lecz nagle zmienił się wyraz jego twarzy i zaczął głośno śmiać się.

Pułkownik stanął zdumiony, z dukatem w ręku.

— Panie pułkowniku, rzekł młodzieniec z powagą, pozwól pan podwójną dać sobie radę. Piérwsza jest, nie ofiaruj pan nigdy piéniędzy korsykaninowi, gdyż nie jeden z moich ziomków, mógłby je panu dość niegrzecznie w oczy rzucić. A druga, abyś pan nie dawał nikomu niewłaściwego tytułu. Nazywasz pan mnie kapralem, a ja jestem porucznikiem. Różnica wprawdzie nie wielka, jednakże...

— Porucznikiem! zawołał sir Thomas, przecież kapitan okrętowy powiedział mi że pan jesteś kapralem, równie jak jego ojciec

i wszyscy członkowie płci męzkiéj jego rodziny.

Usłyszawszy to młodzieniec zaczął śmiać się tak głośno i serdecznie, że kapitan i dwaj majtkowie zaczęli mu wkrótce pomagać.

— Daruj pan, panie pułkowniku, rzekł nareszcie młody człowiek, lecz pomyłka jest wyborna, tylko że ją zaraz nie zrozumiałem. Moja rodzina szczyci się bezwątpienia iż pomiędzy przodkami swemi liczy c a p o r a l ó w; lecz nasi korsykańscy c a p o r a l i nie są to kaprale z galonem przy sukni. Około roku 1100 niektóre gminy usiłujące wydobyć się z pod zarządu panów mieszkających w zamkach, wybierali sobie naczelników, których nazywano c a p o r a l i. Na naszéj wyspie dzisiaj jeszcze poczytuje się za zaszczyt, pochodzić od tego rodzaju tribunów.

— Proszę mi przebaczyć, przerwał pułkownik, wiedząc przyczynę mojego błędu, spodziewam się że mię pan uniewinnisz.

I podał mu rękę.

— To jest słuszna kara za moję dumę, panie pułkowniku, rzekł młodzieniec, który śmiał się ciągle i ściskał serdecznie za rękę anglika, ja bynajmniéj nie gniewam się na pana. Ponieważ mój przyjaciel Matei tak źle mię przedstawił, pozwól pan abym to sam uczynił; nazywam się Orso della Rebbia, jestem porucznikiem na połowie żołdu, i jeżeli pan w zamiarze polowania udajesz się do Korsyki, jak się tego domyślać mogę widząc tych dwóch psów tak pięknych, to będę miał przyjemność towarzyszyć panu w nasze Maquis i po naszych górach..... jeżeli tylko dla mnie nie stały się one już obcemi, dodał z westchnienieniem.

W téj chwili łódź przybyła do galjoty. Porucznik podał rękę miss Lidji i pomógł pułkownikowi wstąpić na pokład. Tu sir Thomas, który o swéj pomyłce nie mógł zapomniéć, i nie wiedział jak miał wynagrodzić tę obrazę, zaprosił porucznika na wieczerzę. Miss Lidja wprawdzie cokolwiek kwaśną minę zrobiła, jednakże w ogólności

nie gniewała ją wiadomość ta, iż on nie był kapralem. Jéj gość podobał się jéj dosyć; ona sama znajdowała w nim coś arystokratycznego; jednak na bohatera romansu zdawał jéj się zanadto wesołym i otwartym.

— Panie poruczniku della Rebja, rzekł pułkownik skłoniwszy się trzymając zwyczajem angielskim szklankę madery w ręku; w Hiszpańji wielu ziomków pańskich widziałem; to byli wyborni strzelcy.

— Tak jest, wielu z nich legło w Hiszpańji, rzekł młody porucznik poważnie.

— Nigdy nie zapomnę o waleczności jednego korsykańskiego bataljonu w bitwie pod Vittorja, mówił daléj pułkownik. Przez cały dzień w ogrodach pomiędzy płotami, utrzymywali ogień tyrljerski i zabili nam, już nie wiem, ile ludzi i koni. Skoro postanowili uskutecznić odwrót, zgromadzili się w jak najlepszym porządku. Na płaszczyźnie spodziéwaliśmy

się im odpłacić, lecz ci waleczni utworzyli carré, i niepodobna było je rozbić. Wśrodku szyku siedział na małym, karym koniu oficer obok chorągwi, jakbym go miał teraz przed oczami, i spokojnie palił cygaro. Niekiedy przegrywała ich muzyka, jakby wyzywając nas... Wysyłam na nich moje dwa piérwsze eskadrony. W tém, zamiast uderzyć z frontu, moi dragoni rozsypują się na boki, chwieją się, i powracają w wielkim nieładzie,—nie jeden koń bez człowieka,... i ciągle ta przeklęta muzyka. Skoro dym zakrywający bataljon rozstąpił się, ujrzałem znowu przy chorągwiach oficera; on palił jeszcze swoje cygaro. Uniesiony gniewem poprowadziłem moich ludzi sam do ataku. Ich bronie były tak dalece zabrudzone od ciągłego ognia, iż strzelać już nie mogli; lecz żołnierze w sześć szeregów, jeden za drugim, najerzyli swoje bagnety. Stali jak mur. Krzyczę, wzywam moich dragonów, ściskam konia

ostrogami,—gdy w tém oficer, o którym mówiłem, wyjął nareszcie z ust swoje cygaro i wskazał mię jednemu z swoich ludzi. Słyszałem że cóś mówił; jakby: al capello bianco! — Ja miałem białe pióro. Więcéj nie słyszałem, gdyż kula przeszyła mi piersi — To był piękny bataljon, panie della Rebbia; piérwszy 18 pułku piechoty, i jak mi póżniéj powiadano, z samych korsykanów złożony.

— Tak jest, rzekł Orso, którego oczy podczas tego opowiadania błyszczały niezwykłym ogniem; uskutecznili odwrót i utrzymali swoje chorągwie; lecz dwie trzecie części tych walecznych spoczywa na równinach pod Vittoria.

— Może pan wiész nazwisko oficera, który tym bataljonem dowodził?

— To był mój ojciec. On był natenczas majorem 18 pułku i za waleczność w tym smutnym dniu mianowany został pułkownikiem.

— Pański ojciec, prawdziwie, to był waleczny człowiek! Wielką miałbym przyjemność, gdybym się mógł z nim widzieć; poznałbym go natychmiast. Czy on żyje jeszcze?

— Nie, panie pułkowniku, lecz on nie miał tego szczęścia aby legł na polu bitwy ... Umarł w Korsyce... przed dwoma laty..Mój Boże, jakże piękne jest to morze! Dziesięć lat już nie widziałem śródziemnego morza.... Czyliż pani nie uważasz śródziemne morze za piękniejsze od oceanu, miss Lidjo?

— Ja uważam je za zbyt błękitne, — a bałwany nie mają w sobie nic wspaniałego.

—Ach! pani lubisz surową piękność; a więc spodoba się pani Korsyka.

— Moja córka lubi wszystko, co jest nadzwyczajném; dla tego się jéj Włochy nie podobały.

— Ja znam tylko Pizę, rzekł Orso, gdzie przez kilka lat uczęszczałem do szkół; lecz

nie mogę pomyśléć o katedrze, pochyłych wieżach, o Composanto, żebym nie był przejęty podziwieniem. Przypominasz sobie pani zapewne śmierć Argagny?

Miss Lidja obawiała się ażeby porucznik nie wpadł w zapał dalszego rozprawiania, i odpowiedziała ziéwając:

— To jest bardzo piękne. Nie bierz mi za złe mój ojcze, lecz cierpię ból głowy, i dla tego udam się do kajuty.

Ukłoniła się poważnie porucznikowi, pocałowała swojego ojca w czoło i znikła. Dwaj mężczyzni rozmawiali potém o wojnie i polowaniu.

Dowiedzieli się że obadwa walczyli naprzeciwko siebie pod Waterloo, i ich dobre porozumienie wzmogło się jeszcze. Roztrząsali naprzemian plany Napoleona, Wellingtona i Blüchera, a potém rozmawiali o jeleniach, dzikach i bawołach. Już późno w nocy i po wypróżnieniu ostatniéj butelki, pułkownik ścisnął jeszcze raz za rękę

porucznika, i co w końcu objawił to życzenie, aby znajomość ich w tak śmieszny sposób zaczęta, długo trwać mogła. Rozłączyli się i każdy udał się na spoczynek.

III.

Noc była piękna, księżyc igrał po falach, a okręt przechylał się łagodnie pędzony lekkim wiatrem. —Miss Lidja nie miała wcale ochoty do snu i jedynie obecność nieznajomego nie dozwalała jéj kosztować tych wzruszeń, jakich na morzu, przy świetle księżyca,

doświadcza każden człowiek, który chociaż cokolwiek ma w sercu poezji. Gdy mniemała że młody porucznik dobrze już zasypiał, jako istota prozaiczna, do których go liczyła, podniosła się, wzięła salopę, i obudziwszy swoję pokojówkę wyszła na pomost. — Nie było tam nikogo, oprócz majtka u stéru, który śpiéwał pewien rodzaj dumki, w korsykańskiém narzeczu, na nutę dziką i jednobrzmiącą. — W ciszy nocnéj, szczególna ta muzyka, miała swój wdzięk. — Na nieszczęście miss Lidja nie zupełnie rozumiała co majtek śpiéwał, — Jeżeli wśród wielu miejsc pospolitych jaki wiérsz mocny obudził jéj ciekawość, trafiał się zaraz wyraz gminny i zaciemniał myśl całą. — Pojęła jednak że tu szło o morderstwo. — Narzekania przeciw mordercom, groźby zemsty, pochwała zmarłégo, wszystko to było pomięszane. — Zatrzymała ona z tego kilka wierszy, które będę usiłował przełożyć:

» ...... Ani wystrzały, ani bagnety — nie zachmurzyły nigdy jego czoła — pogodnego

na polu bitwy — jak niebo podczas lata. — Był on sokołem, przyjacielem orła — dla przyjaciół miód — Dla nieprzyjaciół morze w bałwanach. — Wyższy jak słońce — łagodniejszy jak księżyc. — On, którego nieprzyjaciele Francji ochraniali, legł z ręki morderców w swoim kraju, — Napadli go z tylu, — jak Witolo Sampiera Korsa — Nigdy oni nie śmieli spojrzéć mu w oczy — ..... Umieśćcie na murze, przed moim łóżkiem — mój krzyż honorowy. — Czerwona u niego jest wstążeczka, — Czerwieńsza moja koszula, — Do mego syna w dalekim kraju, poślijcie mój krzyż i moję zakrwawioną koszulę. —Zobaczy tam dwie dziury. — Za każdą dziurę, drugą dziurę, w innéj koszuli. —Ależ zemsta będzie wtedy dokonana? Potrzeba mi ręki, którąby strzelała, oka, któreby na cel brało. — Serca, któreby czuło.

W tém majtek się zatrzymał. — Dla czego nie kończysz, mój przyjacielu? zapytała miss Lidja. — Majtek poruszeniem głowy wskazał

jéj postać wychodzącą na pokład galjoty. Był to Orso, który szedł zachwycać się blaskiem księżyca.

— Kończ więc twoję dumkę, rzekła miss Lidja; wiele ona sprawia mi przyjemności.

Majtek schylił się ku niéj i powiedział po cichu. Nie daję r i m b e c c u nikomu.

—Co takiego?..

Majtek nie odpowiedziawszy zaczął gwizdać.

— Widzę że się pani unosisz nad naszém morzem środziemném, miss Newil, rzekł Orso, przybliżając się do niéj. Przyznaj pani że nie podobna widzieć gdzieindziéj takiego księżyca.

— Nie uważałam wcale,—chciałam się nauczyć piesni korsykańskiéj. Ten majtek śpiéwał okropną b a t l l a l ę, i zatrzymał się w chwili najciekawszéj.

Majtek spuścił oczy, jakby chciał dojrzeć lepiéj bussolę, i dość niezręcznie pociągnął za futro miss Newil. Widać było, że nie mógł swéj ballaty śpiéwać przy poruczniku Orso.

—Co śpiéwasz Paolo Francé? rzekł O so. Ballata czyli téż vocero (1)? Panna cię rozumié i chciałaby słyszéć koniec.

— Zapomniałem, Orso Antoni, rzekł majtek i natychmiast co sił zaczął śpiéwać hymn do Madony.

Miss Lidja słuchała hymnu z roztargnieniem, i nie nalegała więcéj na śpiéwaka,

---

(1) Kiedy kto umrze, a szczególniéj kiedy kto zabity zostanie, umieszczają jego ciało na stole, a kobiéty z jego rodziny lub przyjacjołki, a nawet obce znane z talentu poetycznego, inprowizują przed innemi słuchaczami wiérsze w narzeczu narodowém, które w stronie wschodniéj wyspy zowią się vocero, w zachodniéj ballata.

pzyrzekłszy sobie innym razem dojść znaczenia wyrazów zagadkowych. Ale jéj pokojówka rodem z Florencji, nie lepiéj jak pani rozumiejąca narzecze korsykańskie, była tak że ciekawa dowiedziéć się tego, i zwracając się do Orsa, nim ją majtek piérwéj uprzedzić mógł szturchnięciem, rzekła: Panie kapitanie, co to znaczy Rimbecco?

— Rimbecco, odpowiedział Orso, jest to wyrządzić śmiertelną zniewagę korsykaninowi; jest to mu zarzucać, że się nie zemścił. — Kto ci mówił o rimbecco? (2)

---

(2) Rimbeccare w narzeczu korsykańskiém znaczy czynienie wyrzutów obrażających i publicznie. — Zadawano rimbecco synowi zabitego, mówiąc że ojciec nie jest pomszczony. Rimbecco znaczy pewien rodzaj klątwy na człowieka, który nie zmył jeszcze we krwi swéj zniewagi.

— Wczoraj w Marsylji, odpowiedziała nagle miss Lidja, oficer galjoty użył tego wyrazu.

— I o kimże mowił? zapytał z żywością Orso.

— Eh, opowiadał nam, starą jakąś powiastkę... z czasów,.... tak, sądzę że to o Vanninie d'Ornano.

— Śmierć Vanniny, mniemam nie w bardzo dobrém świetle przedstawia pani naszego bochatera, dzielnego Sampiero.

— Czy pan to znajdujesz bardzo bohaterskiém?

—Jego zbrodnia, da się wytłomaczyć z powodu dzikich obyczajów jego czasu. A ponieważ Sampiero śmiertelną prowadził wojnę z Genueńczykami, jakieżby zaufanie mogli w nim pokładać jego rodacy, gdyby nie ukarał téj, która szukała związków w Genui.

— Vannina, rzekł majtek, pojechała bez zezwolenia swojego męża; dobrze zrobił Sampiero że jéj ukręcił szyję.

— Ależ, rzekła miss Lidja, chcąc wybawić męża, przez miłość dla niego, szła żebrać łaski u Genueńczyków.

— Błagać dla niego łaski, było to go poniżyć! zawołał Orso.

—Lecz zabijać własną ręką! powiedziała miss Niwil. Co to musiał być za potwora!

— Wiész pani, że prosiła jakby o łaskę aby zginąć z jego ręki. Othello, pani, czy uważasz go także za potworę?

— Co za różnica, on był zazdrośny, Sampiero był tylko próżny.

— A zazdrość nie jest także próżnością? Jest to próżność miłości, i być może że pani ją wymówi przez wzgląd na pobudkę?

— Miss Lidja rzuciła na niego wzrok pełen godności, i odwracając się do majtka zapytała go, kiedy galjota przybędzie do portu.

— Pojutrze, odpowiedział, jeżeli wiatr posłuży.

— Chciałabym już widziéć Ajaccio, gdyż ta podróż mnie trudzi.

Podniosła się, wsparła na ramieniu swéj pokojówki, i zacz ła przechadzać się po pokładzie. Orso pozostał nieporuszony przy rudlu, nie wiedząc czy się ma przechadzać z nią, albo zaprzestać rozmowy, która zdawawała się jéj tak przykrzyć.

— Ładna panienka, jak mi Bóg miły, — rzekł majtek; gdyby wszystkie pchły w mojém łóżku były do niéj podobne, wcale bym się nie skarżył że mnie kąsają.

Miss Lidja, być może, słyszała tę naiwną pochwałę swéj piękności, i widać rozgniewała się tém; gdyż zeszła prawie natychmiast do swojéj kajuty. Wkrótce potém Orso odszedł także. Gdy już opuścił pokład, pokojówka powróciła, i wybadawszy majtka, przyniosła następujące swojéj pani wiadomości: Ballata przerwana przybyciem Orsa, ułożona była z przyczyny śmierci pułkownika della Rebbia, ojca młodego porucznika, zamordowanego przed dwoma laty.

Majtek nie wątpił że Orso powraca do Korsyki w celu pomszczenia się i zapewniał że wkrótce widziéć będą świéże mięso w miasteczku Pietranera. Po przełożeniu tych wyrazów narodowych wypada, że pan Orso zamierzał zabić dwie lub trzy osoby podejrzane o morderstwo jego ojca, które wprawdzie sprawiedliwość pociągała do odpowiedzialności, ale uznano je za białe jak śnieg, a to dla tego, że miały w kieszeni sędziów, adwokatów, prefektów i żandarmów. Nie ma sprawiedliwości w Korsyce, tak wyraził się majtek, i więcéj cenię dobrą strzelbę, jak radcę jakiego sądowego. Kiedy kto ma nieprzyjaciela, musi wybiérać między trzema S. (1)

Te zajmujące wiadomości zmieniły znacznie sposób obejścia się miss Lidji z porucznikiem della Rebbią. Odtąd został on

---

(1) Wyrażenie narodowe korsykanów. Schiopetto, stiletto, strada, to jest strzelba, sztylet, ucieczka.

znakomitą osobą w oczach romantycznéj angielki. Ten wyraz nieukontentowania, ten ton szczerości i wesołego humoru, które ją wprzód niekorzystnie uprzedziły, stały się teraz w jéj oczach przymiotami; ponieważ ukrywać miały duszę mocną, która nie dozwala przeniknąć uczuć, jakie nią miotają. Orso zdawał się jéj być pewnym rodzajem Fieska, łającego ogromne plany pod pozorem lekkości; i chociaż mniéj jest zaszczytnie zabić kilku łotrów, jak obronić swoję ojczyznę, jednak piękna zemsta jest zawsze piękną; a nadto kobiéty lubią dosyć aby bohater nie troszczył się o politykę. Dopiéro teraz miss Newil dostrzegła, że młody porucznik ma duże, piękne oczy, zęby białe, postawę zgrabną, edukacją i dość przyzwoite ułożenie. Następnego dnia często z nim mówiła, i rozmowa zajmowała ją. Wypytywała go o szczegóły rodzinnego kraju, o którym nie źle mówić potrafił. Korsyka, którą opuscił zbyt młody, w celu udania się do szkół, a potém do zakładu wojskowego, zachowała w jego

umyślo barwę poetyczną. Zapalał się mówiąc o górach, zaroślach i o szczególnych zwyczajach mieszkańców; łatwo jednak domyśléć się, że wyraz zemsta często był powtarzany w jego opowiadaniu, ponieważ niepodobna mówiąc o korsykanach nie dotknąć, lub nieusprawiedliwiać téj ich namiętności, która poszła nawet w przysłowie. Orso zadziwił nieco miss Newil potępiając w sposób ogólny nienawiść familijnną swoich rodaków. Gmin wprawdzie starał się usprawiedliwiać i utrzymywał, że vendetta jest pojedynkiem biédnych. I tak jest rzeczywiście, mówił, bo nikogo nie zamordują, aż dopiéro po wyzwaniu w tych wyrazach: » Strzeż się! — strzegę się " Takie są słowa uświęcone, które wymienić powinni nieprzyjaciele, zanim na siebie zasadzki robić zaczną. Więcéj u nas jest morderstw jak gdzieindziéj, dodał; ale nigdy nie zajdzie nikczemna pobudka do téj zbrodni.

Mamy prawda dużo morderców, lecz ani jednego złodzieja.

Kiedy wymawiał wyrazy zemsta i morderderstwo, miss Lidja uważała go pilnie, lecz nie odkrywała najmniéjszego śladu wzruszenia. Raz już wyobraziwszy sobie, że siłę duszy potrzebną do tego stopnia posiada, iż nie dozwoli nikomu, wyjąwszy jéj tylko, zbadać uczucia serca swego, nie przestawała wierzyć mocno, że cienie pułkownika della Rebbia nie będą długo oczekiwać zemsty jakiéj żądały.

Już galjota zbliżała się do Korsyki. Kapitan wymieniał punkta główne wybrzeża; wszystkie miss Lidji były nie znane, lecz znajdowała w tém przyjemność, że ich nazwiska miała wymienione; gdyż nic nudniejszego jak krajobraz, któremu nie umiemy nadać nazwiska. Niekiedy przez teleskop pułkownika mogli dojrzeć mieszkańca wyspy, ubranego w burkę i uzbrojonego długą fuzją który na małym koniku galopował po stromych pochyłościach gór.

Miss Lidja w każdéj osobie widziała bandytę, albo syna spieszącego pomścić się śmierci ojca; lecz Orso zapewniał, że to musi być jaki spokojny mieszkaniec sąsiedniego miasta, jadący za interesami; że strzelbę nosi bardziéj z elegancji jak z potrzeby, równie jak dandy, który nie wychodzi z niczém więcéj jak ze trzcinką. Prawda iż strzelba nie jest tyle szlachetna i tyle poetyczna jak sztylet, ale miss Lidja znalazła, że dla mężczyzny więcéjby przystała jak trzcinka i przypomniała sobie, że wszyscy bohaterowie Lorda Byrona umierali od kuli, a nie od korsykańskiego puginału.

Po trzech dniach morskiéj podróży, znaleźli się przed Sanguinaires, i wspaniała panorama przylądka Ajaccio odkryła się oczom naszych podróżnych. Słusznie ją porównywają z widokiem odnogi Neapolitańskiéj; w chwili kiedy galjota weszła do portu, zarośle jedno w ogniu okrywające dymem punta di Girato przypominało Wezuwjusz i powiększało to podobieństwo. Ażeby to podobieństwo

było zupełne, potrzeba tylko ażeby armia Atylli przyszła walczyć w okolice Neapolu; bo w Ajaccio wszystko jest martwe i głuche do koła. W miejsce wytwornych fabryk, jakie widzi się z każdéj strony, zacząwszy od Castellamare aż do przylądku Miseny, nie widać około przylądku Ajaccio jak tylko ciemne zarośla i grzbiety ogołocone gór. Ani jednéj wioski, ani jednego mieszkania. Jedynie tu i owdzie na pagórkach,na około miasta, kilka budynków białych osobno postawionych na zielonéj powierzchni; są to kaplice pogrzebowe i groby familijne. Wszystko w tym krajobrazie jest ciężkiéj i smutnéj piękności.

Widok miasta, nadewszystko w tym czasie, powiększał jeszcze wrażenie spowodowane samotnością okolicy. Na ulicach żadnego ruchu; nie można spotka nikogo, oprócz kilku małych ociężałych postaci, zawsze jednych. Kobiéty żadnéj, chyba kilka wieśniaczek, które przychodzą sprzedawać przedmioty żywności. Głośnych wyrazów nie słychać, ani śpiéwu

lub śmiéchu, tak jak w miastach włoskich. Czasem w cieniu drzew jaki tuzin uzbrojonych wiaśniaków gra w karty, albo patrzy na grających. Nie krzyczą wcale, nie kłucą się nigdy, jeżeli gra ożywia się, słychać wtedy wystrzał pistoletu, który zawsze poprzedza groźbę. Korsyka z natury jest ponurą i spokojną. W wieczór, kilka osób przechadza się dla użycia świéżego powietrza, ale przechadzający się są prawie zawsze cudzoziemcami. Wyśpiarze zostają tylko przed drzwiami swych domów; każdy zdaje się pilnować wejścia, jak sokół swojego gniazda.

IV.

Obejrzawszy dom gdzie się urodził Napoleon i wystarawszy się sposobami nie bardzo godziwemi nieco papiéru z obicia, miss Lidja na drugi dzień po przybyciu, uczuła głęboki smutek, jak to się zdarza każdemu cudzoziemcowi znajdującemu się w kraju, którego

nietowarzyskie obyczaje zdają się skazywać go na zupełne odosobnienie. Żałowała swego pośpiechu; lecz jechać natychmiast, byłoby to ubliżać swéj sławie niestrudzonéj wojażerki, postanowiła więc miss Lidja być cierpliwą i jakkolwiek czas zabić. W tém szlachetném postanowieniu przygotowała sobie ołówek i farby, zeszkicowała widok odnogi, i zrobiła jeden portret ogorzałego wieśniaka, który sprzedawał melony, jakby handlarz stałego lądu; miał brodę białą, a pastać najzawołańszégo łotra.

Wszystko to nie było dostateczném do zabawienia jéj, postanowiła więc zawrócić głowę potomkowi kaporalów; a nie była rzecz trudna, bo Orso daleki od chęci oglądania swéj wioski, zdawał się znajdować wielką przyjemność w Ajaccio, chociaż nie widywał nikogo. Nadto miss Lidja przedsięwzięła szlachetne usiłowanie ukształcić tego górala i odciągnąć go od smutnych planów, które go ściągnęły do swéj wyspy. Odtąd podjęła staranie poprawienia go,

powiedziała sobie że szkoda byłaby zostawić tego młodego człowieka na drodze do zguby i że dla niéj byłoby wielką chwałą nawrócić korsykana.

Dnie naszym podróżnym w następujący sposób ubiegały; rano, pułkownik i Orso chodzili na polowanie; miss Lidja rysowała albo pisała do swych przyjaciołek, w zamiarze aby jéj listy datowane były z Ajacio. Około szóstéj godziny mężczyzni powracali obciążeni zwierzyną; jedzono objad, miss Lidja śpiéwała, pułkownik drzymał, a młodzi ludzie późniéj zaczynali rozmowę.

Nie wiem jaka formalność paszportowa zmusiła pułkownika Newil do oddania wizyty prefektowi; ten nudząc się śmiertelnie jak większa część jego kolegów, zachwycony był, dowiedziawszy się, że przybył Anglik bogaty, światowy i ojciec ładnéj córki. Przyjął go więc doskonale, i co większa, w kilka dni potém, oddał mu swoję wizytę. Pułkownik ukończywszy obiad rozciągnięty był na sofie, i miał

już zdrzymać się, córka śpiéwała przy popsutym fortepianie, a Orso przewracał karty muzycznego kajetu, i spoglądał na gors i bląd włosy wirtuozki, gdy oznajmiono pana prefekta; fortepjan ucichł, pułkownik podniósł się, przetarł oczy, i przedstawił prefekta córce. — Nie przedstawiam panu, rzekł, pana della Rebbia, bo sądzę że go pan znasz zapewne?

—Pan jesteś synem pułkownika della Rebii? zapytał prefekt z miną nieco zaambarasowaną.

— Tak jest panie, odpowiedział Orso.

— Miałem przyjemność znać pańskiego ojca.

Zwykłe przedmiota rozmowy wkrótce się wyczerpały; pułkownik pomimo woli zaczął poziéwać, Orso mając pewne uprzedzenia, zachowywał milczenie, i jedynie miss Lidja sama utrzymywała rozmowę. Prefekt ze swojéj strony nie pozwolił jéj się nudzić, i wi-

docznėm było, że miał żywą chęć rozprawiać o Paryżu i o wielkim świecie z kobiétą znającą wszystkie szczegóły towarzyskiego pożycia w Europie. Niekiedy, zawsze jednak prowadząc rozmowę, spoglądał na Orsa z nieźmierną ciekawością.

— Zapewne na stałym lądzie poznałaś pani pana della Rebbia? zapytał miss Lidji.

Miss Lidja odpowiedziała z niejakiém pomięszaniem, że zapoznała się na statku przywożącym ich do Korsyki.

— Jest to człowiek bardzo przyzwoity, rzekł prefekt półgłosem. Zapewne powiedział on pani, mówił daléj jeszcze ciszéj, w jakim celu powraca do Korsyki?

Lecz miss Lidja odpowiedziała z powagą: „Nie pytałam się go wcale; możesz się go pan o to zapytać.

Prefekt umilkł, ale po chwili, słysząc że Orso powiedział do pułkownika kilka wyrazów po angielsku: —Pan wiele podróżowałeś, zapytał, zdaje się iż musiałeś zapomnieć o Korsycę... i jéj zwyczajach.

— Prawda, byłem bardzo młody, kiedy ją opuściłem.

— Czy pan ciągle jeszcze służy w wojsku-

— Jestem na pół-żołdzie, panie prefekcie.

—Pan tak długo służyłeś w armji francuzkiéj;—zapewne zostałeś zupełnie francuzem, o tém nie wątpię.

Ostatnie te wyrazy wymówił z przyciskiem.

Nie bardzo lubią korsykanie kiedy kto im przypomina że należą do wielkiego narodu, i Orso tém nieco obrażony odpowiedział.

— Myślisz pan, panie p efekcie, że korsykanin chcąc być człowiekiem honoru, potrzebuje koniecznie służyć w armji francuzkiéj?

—Nie,— zapewne, rzekł prefekt, nie jest to moją myślą; mówię jedynie o pewnych zwyczajach tego kraju, między któremi są takie, o jakich urzędnik nie chciałby wiédzieć. Na wyrazie zwyczaje, zrobił wykrzyknik i przybrał postawę tak surową, jak tylko twarz jego pozwalała. Wkrótce potém podniósł się

i wyszedł otrzymawszy obietnicę że miss Lidja odwiédzi jego żonę i córkę.

Skoro odszedł miss Lidja rzekła.

— Potrzeba przyjechać do Korsyki, ażeby wiedziéć co to jest prefekt. Ten zdaje mi się być dosyć przyjemny.

— Ja, rzekł Orso, nie mógłbym tak samo powiedziéć, owszem, znajduję go dosyć oryginalnym z jego miną nadętą i tajemniczą.

Pułkownik w téj chwili spał zupełnie: miss Lidja rzuciła okiem na niego, rzekła i cichym głosem:

— A mnie się zdaję, że nie jest tajemniczym, jak pan uważa, ponieważ go zrozumiałam.

— Pani jesteś bezwątpienia bardzo przenikliwą, miss Newil; i jeżeli pojmujesz pani jaką myśl, w tém co powiedział, wypada koniecznie, aby pani mi jéj udzieliła.

— Jest to przysłowie markiza de Mascarille, panie della Rebbia, sądzę; ale... czy pan chcesz abym mu dała dowód przenikli-

wości? Umiem nieco wróżyć i wiem co myślą ci, których dwa razy widziałam.

— Mój Boże! pani mnie przerażasz. Jeżeli umiesz cudze myśli czytać, nie wiem czyli powinienem się z tego cieszyć lub smucić.

— Panie della Rebbia, mówiła daléj miss Lidja rumieniąc się, znamy się dopiéro od kilku dni; ale na morzu, i w kraju dzikim, pan mi przebaczysz, mam nadzieję... w kraju dzikim prędzéj kojarzy się przyjaźń, jak na wielkim świecie... Więc niech to pana nie dziwi, że mu będę mówić po przyjacielsku, o rzeczach bardzo osobistych i do których obca osoba, być może, mięszać się nie powinna.

— Ach! nie mów pani tego, miss Newil; poprzednie wyrażenie lepiéj mi się podobało.

— A więc powinnam panu powiedzieć, że nie śledząc jego tajemnicy dowiedziałam się o niéj pomimowolnie, i ona mnie zasmuca. Wiem o nieszczęściu jakie dotknęło pańską rodzinę; mówiono mi wiele o mściwym

charakterze twoich rodaków i o sposobach ich zemsty... czyliż nie do tego zmierzały wyrazy prefekta.

— Miss Lidjo, czy możesz tak myśleć!.....
I w tém Orso zbladł gwałtownie.

— Nie, p. della Rebbia, rzekła przerywając mu; wiem że jesteś człowiekiem pełnym honoru, pan mi sam powiedziałeś, że w twoim kraju tylko gmin zna vendettę..., którą podobało się panu nazwać pojedynkiem.

— Więc pani sądzisz mnie być zdolnym abym mógł zostać kiedykolwiek mordercą?

— Ponieważ z panem mówię o tém, panie Orso, możesz się dorozumiéć że nie wątpię o nim wcale, i jeżeli mówię to jedynie dla tego, iż sądzę że to sprawi panu przyjemność, skoro dowiész się że jest ktoś, co umié szacować twą odwagę w oparciu się dzikim przesądom twego kraju. — Przestańmy, rzekła podnosząc się, mówić o rzeczach tak nikczemnych, przykrą jest dla mnie ta rozmowa: zresztą, dosyć jest już późno. Dobranoc; i podała mu rękę.

Orso ścisnął ją za rękę z miną poważną, i przenikającą.

— Pani, rzekł, czy wiész że są chwile w których instynkt narodowy obudza się we mnie. Czasem, gdy wspomnę o moim biédnym ojcu.. okropna myśl mię dręczy. Dzięki ci pani, na zawsze od niéj jestem uwolniony... Dziękuję, dziękuję.

Chciał daléj mówić, ale miss Lidja upuściła łyżeczkę od kawy, i ten brzęk obudził pułkownika.

—Della Rebbio, jutro o piątéj godzinie na polowanie. Bądź pan punktualny.

— Niezawodnie, mój pułkowniku.

V.

Nazajutrz miss Lidja powracała z swą pokojówką cokolwiek wcześniéj niżeli nasi myśliwi do oberży, po odbytéj przechadzce nad brzegiem morza, i spostrzegła wkrótce wjeżdżającą do miasta na małym, lecz dziarskim koniu młodą dziewczynę czarno ubraną. Za

nią jechał wieśniak w brunatnym, sukiennym kaftanie, z podartemi łokciami; pistolet miał za pasem, w ręku trzymał fuzją, któréj kolba wspiérała się na skurzanéj kieszeni przy siodle u mocowanéj; słowem, ubiór jego niczém się nie różnił od ubioru rozbójnika z melodramy. Uderzająca piękność dziewczyny zwróciła na siebie uwagę młodéj angielki. Ona nie miała więcéj jak lat 20, była dobrego wzrostu, biała, z oczami ciemno-niebieskiemi, różowemi ustami i zębami jakby ze słoniowéj kości. W twarzy jéj przebijała się zarazem duma, niespokojność i smutek. Głowę jéj okrywała czarna zasłona, zwana mezaro tak właściwa kobiétom, którą genueńczykowie wprowadzili do Korsyki. Długie, ciemne sploty włosów kształciły niejako turban na około jéj głowy. Suknia była czysta; lecz w nadzwyczaj prostym guście zrobiona.

Miss Newil miała dosyć czasu aby się jéj przypatrzyć; gdyż dziewczyna w mezzaro zatrzymała się na ulicy, dla zapytania się

przechodzącychw przedmiocie mocno ją obchodzącym,jakto można było wyczytać z jéj oczu; odebrawszy odpowiédź,uderzyła konia szpicrutą, ruszyła kłusem i zatrzymała się przed oberżą, w któréj mieszkał pułkownik Newil i Orso. Rozmówiwszy się z gospodynią w kilku słowach, zeskoczyła zręcznie z konia i usiadła na kamiennéj ławce przy drzwiach, gdy tymczasem jéj masztalerz odprowadził konia do stajni. Miss Lidja przeszła w swym paryzkim stroju około nieznajoméj, która ciągle miała oczy na dół spuszczone. W kwadrans późniéj otworzyła okno, i ujrzała jeszcze nieznajomą siedzącą na tém samém miejscu i w téj saméj postawie. Wkrótce przybył także pułkownik z swoim towarzyszem z polowania. Natenczas gospodyni obeży rzekła kilka słów do dziewczyny w m e z z a r o i wskazała palcem na młodego della Rebbia; ona zapłoniła się, powstała szybko i postąpiwszy kilka kroków zatrzymała się. Orso zbliżył się także; i przypatrywał jéj ciekawie.

— Ty jesteś, rzekła ze wzruszeniem, Orso Antonio della Rebbia? Ja jestem — Colomba.

— Colomba! zawołał Orso; pochwycił ją w swoje objęcia i całował z czułością, co pułkownikowi i jego córce nie bardzo się podobało, gdyż w Anglji nie ma zwyczaju całowania się na ulicy.

— Kochany bracie, rzekła Colomba, przebacz mi że bez twego rozkazu tutaj udałam się; lecz powiedzieli mi przyjaciele moi że przybyłeś, i nie mogłam sobie odmówić tego...

Orso ucałował ją jeszcze raz, potém zwróciwszy się do pułkownika rzekł:

— To jest moja siostra Colomba, któréjbym nie poznał, gdyby nie wymieniła swego imienia, — a to pułkownik sir Thomas Nevil. Chciéj mnie uważać za wytłumaczonego, pa nie pułkowniku, lecz nie będę miał dzisiaj zaszczytu obiadować razem... moja siostra...

— Gdzież u djabła! chcesz jeść tedy mój przyjacielu? zapytał pułkownik; wiész dobrze że w téj przeklętéj oberży tylko jeden jest obiad, to jest ten, który dla nas gotują. Siñora wielką sprawi przyjemność mojéj córce, jeżeli zechce przyłączyć się do naszego towarzystwa.

Colomba spojrzała na swojego brata, który nie dał się długo prosić, i wszyscy weszli do najobszerniejszego pokoju w oberży będącego za zarazem jadalnym pokojem i salonem pułkownika. Młoda della Rebbia, skoro przedstawioną została miss Lidji, skłoniła się jéj nisko, lecz nie rzekła ani słowa. Uważano iż nadzwyczaj była lękliwą i domyślano się, że piérwszy raz może w swém życiu znajdowała się w przytomności znakomitych osób nieznajomych. W ułożeniu jéj jednak nie było nic mieszczańskiego; oryginalność tylko była uderzającą.

Ona podobała się już z tego powodu miss Lidji, i ponieważ wszystkie pokoje w całym domu zajął pułkownik i jego orszak, miss Lidja posunęła względność swoję, albo raczéj

ciekawość tak daleko, iż kazała Colombie przyrządzić łóżko w swoim sypialnym pokoju.

Colomba podziękowała jéj w kilku wyrazach i pospieszyła za pokojówką miss Lidji, aby poprawić swoje ubranie przez konną jazdę, pośród kurzu i upału słonecznego, cokolwiek w nieład wprawione.

Skoro powróciła do jadalnéj sali, zatrzymała się przed fuzjami pułkownika, które w kącie poustawiał, i rzekła: — Piękna broń! Czy to twoja, kochany bracie?

— Nie, to są angielskie strzelby, należą do pana pułkownika. Równie są dobre jak piękne.

— Chciałabym ażebyś taką posiadał, powiedziała Colomba.

— Jedna z tych trzech należy bezwątpienia do pana della Rebbji, odparł pułkownik; on jéj aż nadto dobrze używa. Dzisiaj czternastoma strzałami położył czternaście sztuk.

Zaczęła się walka szlachetności, w któréj Orso uległ z wielką radością siostry.

— Wybierz jednę kochany przyjacielu, rzekł pułkownik; lecz Orso wahał się. — Niechaj więc siostra wybierze, dodał. Colomba nie dała sobie dwa razy mówić i wybrała najmniéj ozdobną strzelbę, lecz ciężkiego kalibru. — Z téj dobry strzał być musi rzekła.

Brat jéj zaczął silić się na podziękowania, gdy w tém dano do stołu i wyprowadzono go zarazem z kłopotu. Miss Lidja nadzwyczaj była ucieszona iż Colomba, która z początku nie chciała usiąść razem do stołu, i dopiéro za skinieniem brata uległa, uczyniła znak krzyża Śgo, piérwéj niżeli dotknęła się potraw. » To dobrze, pomyślała, to są stare zwyczaje, i miała nadzieję że niejedno zajmujące spostrzeżenie zrobi nad tą młodą reprezentantką starych korsykańskich obyczai. Orso zaś był niespokojny, gdyż obawiał się aby siostra jego nie uczyniła co

takiego, coby okazało nieznajomość towarzyskiego pożycia. Lecz Colomba ciągle miała na niego zwróconą uwagę, i we wszelkich swych poruszeniach naśladowała zachowanie się brata. Niekiedy spoglądała na niego z ukosa, ze szczególniéjszym wyrazem smutku, i jeżeli przypadkowo spojrzenia ich spotkały się, on zawsze piérwszy odwracał oczy; jakby chciał uniknąć zapytania, które mu siostra w milczeniu zadawała, a które on aż nadto dobrze rozumiał. Mówiono we francuzkim języku, gdyż pułkownik nie mógł z łatwością się wyrażać po włosku. Colomba rozumiała także francuzką mowę i te kilka słów, które wymówić była przymuszoną, powiedziała bardzo dobrze.

Pułkownik uważając przymus, jaki pomiędzy bratem i siostrą panował, zapytał się po obiedzie, ze swą zwykłą otwartością, czy Orso nie życzy sobie na osobności z Colombą rozmówić się, i w takim razie, chciał wyjść z swoją córką do przyległego pokoju. Lecz Orso podziękował mu i rzekł że będą

mieli dosyć czasu w Pietranera do takiéj rozmowy.

Tak się nazywała wieś, gdzie on miał mieszkać.

Pułkownik zajął więc swoje zwykłe miejsce na sofie, a miss Lidja widząc iż niepodobieństwem było piękną Colombę do mówienia pobudzić, prosiła Orsa aby przeczytał jaką pieśń z Danta, ulubionego jéj poety. Orso wybrał śpiéw piekielny, w którym znajduje się epizod Franceska de Rimini; zaczął czytać, i deklamował jak tylko można najlepiéj te wyborne wiersze, które tak pięknie malują niebezpieczeństwo czytania we dwoje książek miłośnych. Im dłużéj czytał, tém bardziéj Colomba przybliżała się do stołu i prostowała głowę; jéj duże oczy zabłysły niezwykłym ogniem; rumieniła się i bladła naprzemian i poruszała się ciągle z niespokojnością na stołku. Dziwna to ta włoska natura! dla pojęcia poezji nie potrzebuje wcale pedanta aby jéj wskazywał to, co jest pięknem.

Kiedy Orso skończył czytać, zawołała; Ach jakże to piękne! kto to napisał, kochany bracie?

To naiwne zapytanie zmięszało Orsa cokolwiek, lecz miss Lidja odpowiedziała uśmiéchając się: to jest wiérsz florenckiego poety, który umarł kilka wieków temu.

— Dam ci Dantego do czytania, kiedy będziemy w Pietranera, rzekł Orso.

— Ach Boże, jakże to piękne! rzekła jeszcze raz Colomba i powtórzyła kilka miejsc, które zatrzymała w pamięci; z początku po cichu, potém zupełnie głośno i z większém uczuciem niżeli brat jéj.

Miss Lidja mocno była zdziwiona i rzekła:

— Pani, zdaje się, bardzo lubisz poezję. Jakże zazdroszczę pani tego szczęścia że możesz Dantego czytać jak nową książkę!

Skoro nadszedł czas spoczynku, udały się obie do sypialnego pokoju. Miss Lidja zdejmując chustkę z szyi, kolczyki i braseletki uważała na swoję towarzyszkę, która wyciągnęła z pod sukni jakąś pochwę długą, blaszaną, szczególnego kształtu i złożyła ją starannie, jakby ukradkiem pod swoje mezzaro na stoliku; potém uklękła i modliła się nabożnie. Miss Lidja z natury swéj bardzo ciekawa i powolna w rozbiéraniu się jak angielka, udając jakby szukała szpilki, podniosła mezzaro; ujrzała pod niém dosyć długi sztylet w srebro i perłową macicę oprawny. Robota była piękna i dla lubownika wielkiéj wartości.

— Czy to jest zwyczajem tutaj, zapytała miss Lidja uśmiechając się, aby panny nosiły to małe narzędzie za gorsetem?...

— To jest potrzebą, odpowiedziała Colomba wzdychając, znajduje się tyle złych ludzi.

— I miałabyś pani w istocie odwagę użyć go w razie potrzeby?

— Tak jest, gdyby konieczność wymagała, rzekła Colomba miłym głosem, aby bronić siebie, lub moich przyjaciół. Szczęśliwi ci, którzy nie potrzebują téj broni używać; dodała westchnąwszy, położyła głowę na poduszce, i oczy jéj zamknęły się. Piękniejszéj głowy nad tę, szlachetniejszéj i tak prawdziwie panieńskiéj, nie podobnaby było znaleść. Fidias pracując nad swoją Minerwą nie życzyłby sobie innego wzoru.

VI.

Stosując się do przepisu Horacjusza, rzuciłem się zaraz z początku in medias res. Teraz, kiedy śpią wszyscy: piękna Colomba, pułkownik i jego córka, chcę korzystać z okoliczności aby moich czytelników obznajmić z poprzedniemi wypadkami, które wiedzieć

powinien, dla lepszego zgłębienia téj prawdziwéj historji. To już jest wiadomém że pułkownik della Rebbia, ojciec Orsa, zamordowany został. Lecz w Korsyce można być zabitym, nie tak, jak to we Francji bywa, od piérwszego lepszego więźnia zbiegłego z galer, który nie ma innego sposobu dostania piéniędzy; w Korsyce można ponieść śmierć z ręki nieprzyjaciół, a przyczyna, dla któréj mamy nieprzyjaciół, często trudna jest do zbadania. Wiele rodzin nienawidzi się z przyzwyczajenia, i piérwszy powód ich nienawiści już zupełnie poszedł w niepamięć.

Rodzina pułkownika della Rebji nienawidziła wiele innych rodzin, a szczególniéj familję Barricinich. Jedni powiadali że w szesnastym wieku młody della Rebbia uwiódł pannę Barricini, i za to został zamordowany przez jednego z krewnych téj dziewicy. Inni opowiadają iż rzecz się miała przeciwnie, i utrzymują że panna della Rebbia uwiedziona została, a młody Barricini zamordowany. Od

tego czasu, że użyję wyrażenia krajowego, krew była pomiędzy temi dwoma domami; jednakże, pomimo zwyczaju, morderstwo to nie spowodowało innego, ponieważ obie rodziny della Rebiów i Barricinich zarówno prześladowane były przez rząd genuezki; młodzi ludzie opuszczali wyspę, i oba te domy nie miały energicznych reprezentantów.

W końcu ostatniego wieku, jeden della Rebbia, oficer w służbie neapolitańskiéj zaczął bitwę w oberży z żołnierzami, którzy pomiędzy innemi obelgami, nazwali go także korsykańskim kozopasem. On uchwycił wprawdzie za pałasz, lecz ponieważ był sam jeden przeciwko trzem, nie bardzo dobrze wyszedłby z téj bitwy, gdyby jakiś nieznajomy, który grał w karty w téj saméj oberży, nie zawołał: ja jestem także korsykanin! i nie przybył mu na pomoc. Ten nieznajomy był Barricini, który jednak nie znał swojego ziomka. Kiedy przyszło do wyjaśnienia, nastąpiły wzajemne przysięgi wiecznéj przyjaźni;

gdyż na stałym lądzie łączą się z łatwością korsykanie, zupełnie przeciwko zwyczajowi panującemu na wyspie. Dla tego też della Rebbia i Barricini żyli z sobą jak poufali przyjaciele, dopóki znajdowali się we Włoszech, lecz gdy powrócili do Korsyki, widywali się bardzo rzadko, chociaż w jednéj i téj saméj wsi mieszkali, i kiedy umarli, powiadano, iż nie pozdrowili się wzajemnie od lat pięciu, albo sześciu. Ich synowie żyli w ten sam sposób, lecz podług etykiety, jak to mówią na wyspie. Jeden, Ghilfuccio' ojciec Orsa, był wojskowym, drugi, Gwido Barricini, był adwokatem. Ponieważ obadwa byli ojcami familji, mieli też często sposobność widzenia się wzajemnie, i słyszenia o sobie.

Pewnego dnia,około roku 1809,kiedy Gwigo przeczytał w Bastia, w gazecie, że kapitan Ghilfucoio otrzymał krzyż wojskowy, rzekł do przytomnych iż go to wcale nie dziwi że jenerał W.... tę rodzinę proteguje. To doniesioném zostało kapitanowi Ghilfuccio do

Wiednia, a on powiedział do jednego z ziomków, że za powrotem do Korsyki znajdzie pewnie Gwida przy wielkim majątku, gdyż on większe zyski ciągnie ze swych procesów przegranych, niżeli z tych, które wygra. Nigdy nie dowiedziano się, co on chciał przez to rozumieć, czyli że Barricini oszukuje swoich klientów, czyli téż ograniczał się na téj ogólnéj prawdzie, że zła sprawa przynosi adwokatowi więcéj niżeli dobra. Dość że adwokat Barricini dowiedział się o tém, co della Rebbia powiedział i nie zapomniał tego. W roku 1812 życzył on sobie zostać merem swéj gminy, i miał już zupełną nadzieję osiągnięcia swojego celu, gdy jenerał W... napisał do prefekta, polecając mu krewnego żony Ghilfuccia. Prefekt nieomieszkał zadość uczynić życzeniom jenerała, i Barricini nie wątpił o tém, iż zawód swoich zamiarów przypisać winien intrygom Ghilfuccia. Po upadku cesarza w 1814 r. protegowany przez jenerała mer, jako bonapartysta został złożony z urzędu, a jego miejsce zajął Barricini. Podczas

panowania stu dni musiał ten ostatni ustąpić także, lecz wkrótce objął znowu z wielką okazałością pieczęć merowską.

Od téj chwili gwiazda jego coraz większym blaskiem świéciła. Pułkownik della Rebbia uwolniony od służby z połową żołdu, osiadł w Pietranerra i musiał ciągle prowadzić z nim tajemną walkę i znosić jego prześladowania; już to musiał wynagrodzić szkodę, którą zrządził koń jego na polach mera; to znowu ten ostatni, pod pozorem naprawienia posadzki w kościele, kazał wyrzucić pęknięty kamień z herbami della Rebbiów, który pokrywał grób jednego z członków téj rodziny. Jeżeli zaś kozy ogryzały latorośla pułkownikowi, właściciele tych zwierząt znajdowali zawsze opiekę u mera; powoli i kupiec utrzymujący pocztowy kantor w Pietranera i strzelec rządowy, obadwa stronnicy della Rebbji, odsunięci zostali od obowiąz-

ków, a na ich miejsce przeznaczono przychylnych Barriciniemu.

Żona pułkownika umarła, objawiwszy życzenie aby pochowaną była w lasku, przez nią ulubionym; lecz mer oświadczył natychmiast, że powinna być pochowaną na zwykłym cmentarzu, gdyż nie jest upoważniony do pozwolenia aby pogrzebioną została na osobném miejscu. Rebjaniści za pomocą siły doprowadzili do skutku swój zamiar, i kiedy prowadząc zwłoki do lasku na miejsce spoczynku, przechodzili około domu mera, jakiś człowiek cierpiący pomięszanie zmysłów, zawołał: » niech żyje cesarz!... Kilka głosów powtórzyło ten okrzyk i rebbjaniści coraz bardziéj w zapał wpadający, chcieli zastrzelić byka należącego do mera, który pasł się niedaleko. Szczęściem pułkownik zapobiedz temu potrafił.

Łatwo można się domyśléć że mer doniósł natychmiast prefektowi o tym wypadku, i opisał, wjaki to sposób prawa boskie i ludzkie zdeptane zostały, i powaga urzędnika znieważoną; doniósł że pułkownik della Reb-

bia stanął na czele zgrai bonapartystów i wzywał obywateli aby uzbroili się, dla rozpoczęcia wojny domowéj, — zbrodnia przewidziana w artykułach 86 i 92 kodeksu karnego.

Ta skarga przesadzona zawiodła go w skutku. Pułkownik napisał do prefekta i królewskiego prokuratora; jeden krewny jego żony był w związkach przyjaźni z deputowanym wyspy, a drugi z prezydyntem trybunału. W skutku tego odwołania się, spisek pominięto, sińora della Rebbia pozostała w lasku, człowiek tylko cierpiący pomięszanie zmysłów skazany został na 14 dni aresztu.

Adwokat Barriccini nie był zupełnie zadowolony z tego obrotu rzeczy i wymierzył swoje baterje w inną stronę. Wyszukał jakiś stary dokument, i opierając się na tym dowodzie, zaczął przeczyć pułkownikowi własności pewnego strumienia, na którym stał młyn. Rozpoczął się więc proces, który trwał bardzo długo. Po upływie roku sąd

miał już wydać wyrok, podług wszelkiego podobieństwa, na korzyść pułkownika, gdy Barricini złożył w ręce prokuratora królewskiego list z podpisem pewnego Agostyni, sławnego bandyty, który groził jemu, merowi, podpaleniem i śmiercią, gdyby nie odstąpił od swoich żądań. Wiadomo jest że na Korsyce protekcja bandyty bardzo jest poszukiwaną, i że dla zobowiązania sobie swych przyjaciół, wdają się oni często w spory prywatne. Mer chciał korzystać z tego listu, gdy nowy wypadek zawikłał jeszcze tę sprawę. Bandyta Agostyni napisał do prokuratora królewskiego uskarżając się iż zfałszowano jego pismo i ubliżono jego charakterowi, czyniąc go człowiekiem, który frymarczy swoim wpływem: »Jeżeli odkryję fałszerza, wyraził się w końcu listu, to ukarzę go przykładnie.

Było więc widocznem iż Agostyni nie pisał listu grożącego merowi; lecz della Rebbiowie oskarżali o to Barriccinich i nawzajem. Obie strony odgrażały sobie, a

sąd nie wiedział kogo miał winnym uznać.

Tym zasem pułkownik Ghilfuccio został zamordowany. Wydarzenie to podajemy stosownie do akt sądowych: Dnia 2 Sierpnia 18.. nad wieczorem pewna kobiéta, Magdalena Pietri, niosaca zboże do Pietranera usłyszała dwa wystrzały bardzo blisko, jak się jéj zdawało w wąwozie, przez który przechodziła droga wiodąca do wsi, około 250 kroków od tego miejsca, gdzie się znajdowała. Prawie w téj saméj chwili ujrzała jakiegoś człowieka, który biegł zchylony scieszką przez winnicę i zmierzał do wsi. Człowiek ten zatrzymał się przez chwilę i obrócił; lecz odległość była zbyt wielką, aby ta wieśniaczka rozpoznać mogła rysy jego, zwłaszcza że w ustach trzymał liść winny, który zakrywał mu całą twarz. On dał znak ręką swemu towarzyszowi, którego świadcząca wieśniaczka widziéć nie mogła, i znikł wśród winnicy.

Wieśniaczka złożyła swój ciężar, zbiegła scieszką i znalazła pułkownika della Rebbię

przeszytego dwiema kulami, lecz przy życiu jeszcze. Krew lała się z ran, a on walczył ze śmiercią, lecz nie mógł wymówić ani słowa; co lekarze wytłumaczyli przez naturę ran jego, gdyż płuca były uszkodzone. Naróżno Magdalena podnosiła go i zadawała mu pytania; widziała to dobrze iż chciał mów:ć, lecz nie mógł w żaden sposób. Kiedy spostrzegła iż usiłował ponieść rękę do kieszeni, wydobyła z niéj spiesznie pugilares i podała mu go otwarty. Umierający wziął ołówek z pugilaresu i usiłował pisać; i w istocie Magdalena Pietri widziała iż z wielką trudnością cóś napisał; lecz nie mogła wiedzićć co takiego, gdyż nie umiała czytać. Wycieńczony tém wysileniem pułkownik złożył pugilares w ręce Magdaleny Pietri i scisnął ją z mocą; spoglądając na nią ze szczególnym wyrazem twarzy, jakby chciał mówić: » To jest ważne, to imie mojego mordercy!"

Wieśniaczka Pi:tri pobiegła do wsi i spotkała mera Barricini z swoim synem Vin-

centello. Była już noc prawie. Opowiedziała wszystko to, czego świadkiem była, a mer wziął pugilares i udał się do kancelarji dla przypasania swéj szarfy; kazał zawołać swego sekretarza i żandarmów. Magdalena Pietri pozostawszy sama z młodym Vincentello, namawiała go aby udał się nieść pomoc pułkownikowi, lecz Vincentello odpowiedział iż niezawodnie oskarżonoby go o to zabójstwo, gdyby przybliżył się do tego człowieka, który był zaciętym nieprzyjacielem ich rodziny. Wkrótce potém przybył mer, udał się na miejsce spełnionéj zbrodni i znalazł pułkownika nieżywego; kazał trupa zabrać i spisać protokuł.

Mimo swego pomięszanie, które łatwo da się wytłumaczyć przy takiém wydarzeniu, pan Barricini nieomieszkał opieczętować pugilaresu pułkownika i rozporządzić wszelkie poszukiwania będące w jego mocy; lecz żadne z nich nie przyniosło pożądanego skutku.

Kiedy sędzia delegowany otworzył pugilares, ujrzano na kartce zbroczonéj krwią kilka głosek nakreślonych osłabioną ręką, lecz dosyć czytelnych. Było napisane: A g o- sti... i sędzia nie wątpił, że pułkownik chciał oznaczyć Agostyniego, jako swojego mordercę. Jednakże Colomba della Rebbia wezwana przez sędziego, żądała aby jéj pokazano pugilares. Przejrzawszy kartki wskazała ręką na m e r a i zawołała: » oto morderca! Potém z dokładnością i jasnością zadziwiającą przy takiém uniesieniu boleści, w jakiem była pogrążona, opowiedziała że jéj ojciec odebrawszy kilka dni piérwéj list od syna swego spalił go, lecz poprzednio zapisał w swoim pugilaresie ołówkiem adres Orsa, który zmienił garnizon. Otóż adres ten nie znajdował się w pugilaresie, i Colomba twierdziła że m e r wydarł kartkę z tym adresem, na któréj było także napisane imie mordercy przez jéj ojca; i w miejsce m e r a podstawiono, według mniemania Colomby, Agostyniego. Sędzia widział wprawdzie że

brakowało kartki w tym kajeciku, na którym napisane było imie mordercy; lecz wkrótce przekonał się że również powydzierane były kartki w innych kajecikach tego pugilaresu, i świadkowie zeznali iż pułkownik miał zwyczaj wydzierać kartki z pugilaresu, kiedy chciał zapalić swoje cygaro; bardzo więc było podobném do prawdy, że pułkownik przez pomyłkę spalił adres swojego syna. Oprócz tego dowiedzioném było, że mer odebrawszy pugilares od wieśniaczki nie mógł czytać z powodu ciemności; że się nie zatrzymywał ani na chwilę przed wejściem do kancelarji dokąd towarzyszył, mu sierżant żandarmów, który widział go, jak zapalił lampę, włożył pugilares w kopertę i zapieczętował ją.

Kiedy sierżant skończył swoje zeznanie, Colomba nie posiadając się z boleści, rzuciła mu się do nóg i błagała go, aby wyznał czy nie opuścił mera, chociażby na chwilę. Sierżant po niejakiém wahaniu się, widocznie wzruszony uniesieniem téj młodéj

dziewczyny, oświadczył iż szukał w przyległéj stancji dużéj cwiartki papiéru, lecz nie bawił tam minuty, i mer ciągle mówił do niego kiedy on szukał po ciemku papiéru w szufladce. Wreszcie zeznał, że skoro powrócił, pugilares leżał na stole, w tém samém miejscu, na które go mer rzucił wchodząc.

P. Barricini uczynił zeznanie z największą spokojnością. Uważał za wytłumaczone uniesienie panny della Rebbia i z chęcią przystąpił do usprawiedliwienia się. Dowiódł że przez cały ten wieczór pozostawał we wsi; że jego syn Vincentello stał z nim ciągle przed kancelarją, w chwili spełnienia zbrodni; wreszcie że jego drugi syn Orlanducio złożony w dniu tym słabością, nie ruszył się z łóżka. Przedstawił wszystkie swoje strzelby, z których ani jedna nie okazywała śladów świéżego wystrzału. Dodał że co się tyczé pugilaresu, on natychmiast zrozumiał ważność jego, i dla tego opieczętowawszy go oddał w ręce adjunkta, przewi-

dując że z powodu znanéj nieprzyjaźni jego z pułkownikiem, mógłby łatwo podany być w podejrzenie. W końcu przypomniał że Agostyni groził śmiercią temu, który napisał list w jego imieniu, i napomknął że może ten nędznik mając w podejrzeniu pułkownika zamordował go. W obyczajach tych bandytów taka zemsta i z podobnych przyczyn nie była bez przykładu.

W pięć dni po śmierci pułkownika della Rebbia, napadnięty został Agostyni przez oddział strzelców, i po zaciętéj walce zabity. Znaleziono przy nim list Colomby, która zaklinała go ażeby przyznał się, czy był winny lub nie morderstwa, o które go posądzono. Bandyta nie odpowiedział wcale, wnoszono ztąd dosyć powszechnie iż nie miał odwagi wyznać przed córką iż zabił jéj ojca. Jednakże osoby bliżéj znające charakter Agostyniego szeptały że onby szczycił się tém, gdyby zabił pułkownika. Inny bandyta, znany pod imieniem Brandolacio, oddał Colom-

lombie oświadczenie na piśmie, w którém ręczył swoim **honorem** iż towarzysz jego był niewinny; lecz przytaczał tylko jeden dowód, to jest że Agostyni nigdy mu nie mówił, aby miał w podejrzeniu pułkownika.

Konkluzja. — Rodzina Barricinich została uniewinnioną; sędzia delegowany obsypał **mera** pochwałami, a ten uwieńczył swe piękne postępowanie zrzekając się wszelkich roszczeń do strumienia, o który toczył proces z pułkownikiem della Rebbia.

Colomba stosownie do zwyczajów krajowych improwizowała nad zwłokami swojego ojca, w przytomności zgromadzonych przyjaciół. Wyzionęła przy téj sposobności całą swą nienawiść przeciwko Barricinim, i oskarżyła ich uroczyście o zabójstwo, grożąc zemstą swojego brata. Improwizacja ta rozeszła się pomiędzy okolicznym ludem i majtek śpiéwał ją miss Lidji. Orso będący na-

ówczas w północnéj Francji, skoro dowiedział się o śmierci ojca, żądał urlopu, lecz nie mógł go otrzymać. Z początku, po otrzymaniu listu od siostry, uważał Barricinich za winnych; lecz wkrótce odebrał odpis całych akt śledczych i prywatny list od sędziego, z czego prawie zupełne powziął przekonanie, że bandyta Agostyni był tylko winnym. Co trzy miesiące pisywała Colomba do niego powtarzając swoje podejrzenia, które nazywała dowodami. Pamimowolnie oskarżenia te burzyły krew jego korsykańską i niekiedy podzielał prawie przesądy swojéj siostry. Jednakże ile razy pisał do niéj, powtarzał jéj że przytaczane przez nią dowody były bezzasadne i nie zasługiwały na żadną wiarę. Zabraniał jéj nawet, lecz zawsze napróżno, aby już więcéj w tym przedmiocie nie pisała. Dwa lata upłynęły w ten sposób, po upływie których został uwolniony z połową żołdu i natenczas powziął zamiar odwidzenia swéj ojczyzny; nie dla tego aby zemścić się nad temi ludźmi, których uwa-

żał za niewinnych, lecz w celu wydania za mąż swéj siostry i sprzedania swéj małéj własuości, w razie gdyby wartość jéj wystarczała na utrzymanie jego na stałym lądzie.

VII.

Bądź że przybycie siostry obudziło w młodym della Rebbia z większą mocą wspomnienia rodzicielskiego domu, bądź też doznawał niejakiéj przykrości, z powodu stroju i dzikiego ułożenia Colomby, w przytomności swych ucywilizowanych przyjaciół, dość że

Orso objawił nazajutrz swój zamiar opuszczenia Ajaccio i powrócenia do Pietranera. Jednakże zobowiązał pułkownika aby odwiedził go w jego skromném mieszkaniu, kiedy będzie udawał się do Bastia, i nawzajem przyrzekł wskazać mu wiele jeleni, bażantów, dzików, i innéj zwierzyny.

W wilją odjazdu Orsa nie udali się nasi myśliwi na polowanie, lecz na przechadzkę nad brzeg zatoki. Orso podawszy rękę *miss* Lidji mógł bez wszelkiego przymusu rozmawiać, gdyż Colomba pozostała w mieście dla zrobienia sprawunków, a pułkownik opuszczał ich co chwila goniąc za łyskami z wielkiém zadziwieniem przechodniów, którzy pojąć nie mogli, jak można proch marnować dla podobnéj zwierzyny.

Szli drogą wiodącą do kaplicy greckiéj, zkąd jest najpiękniejszy widok na zatokę; lecz on bynajmniéj nie zajmował ich uwagi.

— Miss Lidjo..... rzekł Orso po długiém milczeniu; powiédz pani szczerze, co myślisz o mojéj siostrze?

— Podobała mi się bardzo, odpowiedziała miss Nevil. Bardziéj niżeli pan, gdyż jest prawdziwą korsykanką, dodała uśmiechając się, a pan jesteś dzikim —zbyt ucywilizowanym.

— Zbyt ucywilizowanym!.... Ach, prawdziwie! czuję iż pomimowolnie staję się na nowo dzikim, skoro stąpiłem tylko nogą na tę wyspę. Tysiące okropnych myśli mię dręczy.. potrzebuję rozmówić się przez chwilę z panią, nim zapuszczę się w moję pustynię.

— Trzeba miéć odwagę; panie Orso; widzisz rezygnacją twojéj siostry, ona daje ci przykład.

— Ach! nie uwódź się pani. Nie ufaj jéj spokojności. Ona nie mówiła do mnie jeszcze

ani słowa, lecz w każdém spojrzeniu jéj czytam to, czego ode mnie żąda.

— Cóż więc chce ona?

— Och! nic... tylko żebym sprobował czy strzelba ojca pani równie dobrze strzela do człowieka jak do kuropatwy!

— Co za myśl! Czyli możesz to pan przypuszczać, kiedy sam wyznajesz, iż nie mówiła do ciebie nic jeszcze w tym przedmiocie. To okropnie z twéj strony.

— Gdyby ona nie myślała o zemście, mówiłaby natychmiast ze mną o naszym ojcu; lecz ona nie uczyniła tego. Byłaby wymówiła imie tych, których uważa... nie słusznie, ja to wiem, za morderców jego. Lecz nie! ani jednego słowa nawet. Już to my korsykanie, jak pani widzisz, jesteśmy chytrą rasą. Ona wie że nie ma jeszcze mię zupełnie w swéj mocy, i nie chcę mię przestraszać, dopóki mogę się jéj wymknąć. Kiedy przyprowadzi mię na sam brzeg przepaści, kiedy głowa mi się zawróci, wtenczas wepchnie mię dopiéro.

Potém Orso opowiedział miss Lidji niektóre szczegóły śmierci swojego ojca i przytoczył główne dowody, które każą mu wierzyć że Agostyni był mordercą. — To wszystko jednak, dodał, nie może przekonać Colomby. Ja to widzę z ostatniego jéj listu. Ona przysięgła śmierć Barricinim; i..... możeby już nie żyli, gdyby nie utrzymywała iż zemsta ta mnie przynależy, jako naczelnikowi familji, i że to jest dla mnie obowiązkiem honoru.

— Prawdziwie, panie della Rebbia, spotwarzasz twoję siostrę, rzekła miss Nevil.

— Wcale nie, pani sama powiedziałaś.... ona jest korsykanką.. ona myśli tak samo, jak wszyscy... czy pani wiész dla czego wczoraj byłem tak smutny?

— Nie wiem, lecz od niejakiego czasu podległy pan jesteś napadom złego humoru.. W piérwszych dniach naszéj znajomości byłeś pan przyjemniejszy.

— Wczoraj, jednak, byłem weselszy, szczęśliwszy jak zwykle. Widziałem panią tak dobrą, tak pobłażającą dla mojéj siostry!..... Powracaliśmy z pułkownikiem łodzią. Czy wiész pani co powiedział do mnie jeden z wioślarzy w swym piekielnym djalekcie. — » Zabiłeś wiele zwierzyny Ors' Anton, lecz znajdziesz lepszego strzelca od siebie, młodego Orlanducio Barricini.''

—Lecz cóż tak strasznego w tych słowach! Czyli pan tak dalece sławy szukasz z dobrego strzelania.

— Czyliż pani nie widzisz że ten nędznik chciał powiedzieć iż nie mam dosyć odwagi aby zabić młodego Barricini?

— Wiész pan, panie della Rebbia, że ja się pana obawiam. Zdaje się że powietrze twojéj wyspy nie tylko nabawia gorączki, lecz nawet przywodzi do szaleństwa. To szczęście że ją wkrótce opuściemy.

— Nie piérwéj jednak nim będziecie państwo w Pietranera, Obiecałaś to pani mojéj siostrze.

— A gdybyśmy nie dotrzymali téj obietnicy, moglibyśmy się bezwątpienia spodziéwać jakiéj straszliwéj zemsty?

— Pani jesteś okrutną w swoich żartach, miss Nevil,—powinnaś mię pani oszczędzać. Widzisz pani, iż sam tylko jestem. Pani tylko jedna przeszkodzić mogłaś, abym nie został szalonym, jak pani mówisz. Pani byłaś moim aniołem stróżem, i teraz.....

— A teraz, rzekła miss Lidja poważnie, masz pan za podporę swego rozumu, tak łatwego do zbłąkania się, swój honor mężczyzny i wojskowego, i... dodała odwróciwszy się dla zerwania kwiatu, jeżeli to cóśkolwiek znaczy dla pana, pamiątkę swego anioła stróża.

— Ach! miss Nevil, gdybym mógł przypuścić, iż panią w istocie obchodzić może.....

— Posłuchaj pan, panie della Rebbia, rzekła miss Nevil nieco wzruszona, ponieważ pan jesteś dzieckiem, będę obchodzić się

z panem jak z dzieckiem. Kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, moja matka dała mi piękny naszyjnik, którego mocno pragnęłam, lecz dając mi go rzekła: — Ile razy włożysz ten naszyjnik, przypomnij sobie że nie umiész po francuzku. — Naszyjnik stracił w moich oczach cokolwiek z swéj wartości. On stał się często dla mnie niejako wyrzutem; lecz nosiłam go i umiem po francuzku. Czy widzisz pan ten pierścień? Ta dziwna figura wyryta na nim, którą pan może uważasz za butelkę, ma oznaczać życie ludzkie. Ten pancerz znowu i ręka trzymająca włócznią oznacza walkę. Z połączenia tych dwóch charakterów utworzy się dewiza, według mnie dosyć piękna: Życie jest walką. Nie sądź pan że ja biegle tłumaczę hjeroglify, to jeden z uczonych mi je wytłumaczył. Otóż daję panu mój pierścień. Kiedy nachodzić będą pana jakie złe myśli korsykańskie, spojrzyj na mój talizman i powiédz sobie że trzeba wyjsć zwycięzko z walki, którą nam wydają złe namiętności. Lecz, prawdziwie, nie źle umiem prawić kazanie.

— Będę myślał o pani i powiem sobie..

— Mów pan sobie że masz przyjaciółkę któréj byłoby przykro... gdyby... dowiedziała się żeś został powieszony. Toby nadto wiele przykrości sprawiło panom kapralom, twoim przodkom.

To powiedziawszy opuściła Orsa śmiejąc się i pobiegła do swego ojca: — Ojcze, rzekła, daj pokój tym ptakom, a udaj się z nami obejrzyć grotę Napoleona.

VIII.

Zawsze jest cóś uroczystego w odjeździe, nawet wtenczas, kiedy rozstajemy się tylko na czas krótki. Orso miał wyjechać z siostrą bardzo rano i w wilją, wieczorem, pożegnał miss Lidją; ponieważ nie spodziewał się wcale ażeby dla niego miała odstąpić od

swoich miękkich zwyczajów i wstać cokolwiek wcześniéj. Ich pożegnanie było zimne. Od czasu rózmowy na brzegu morza, miss Lidja obawiała się okazać Orsowi zbyt żywego zajęcia się jego losem a Orso ze swojéj strony, miał na sercu jéj żarty, a nadewszystko ton lekki mówienia. — Były chwile żę w obejściu się młodéj angielki widział pewien rodzaj wzrastającego przywiązania; — lecz teraz, zrażony jéj żarcikami, mówił sobie, że w oczach jéj nie jest czém innym, jak tylko prostym znajomym, o którym wkrótce zapomina się — Jakże więc wielkie jego było zadziwienie, gdy rano pijąc kawę z pułkownikiem, spostrzegł wchodzącą miss Lidją wraz z siostrą. — Wstała o piątéj godzinie; jak na angielkę, a nadewszystko na miss Nevil, była to wielka ofiara i nie można się dziwić, iż doznał z tego powodu uczucia zadowolonéj próżności.

— Przykro mi bardzo żeś pani wstała tak rano, rzekł Orso. — To niezawodnie moja siostra obudziła panią, pomimo moich próśb; pani zapewne mocno nam złorzeczysz, a może nawet życzysz abym był już wisiał?

— Bynajmniéj, rzekła miss Lidja bardzo cicho po włosku, oczywiście dla tego aby ojciec nie słyszał. — Ale pan jak uważałam zmarszczyłeś się wczoraj za moje niewinne żarciki, nie chciałam więc, abyś nas opuszczał unosząc złą o nas pamiątkę..... Jacy wy straszni ludzie jesteście, korsykanie! — Do widzenia więc,... wkrótce—mam nadzieję. I podała mu rękę.

Orso jedno tylko westchnienie znalazł na odpowiedź. Colomba zbliżyła się do niego, odprowadziła do framugi okna i pokazując mu jakąś rzecz, którą trzymała pod m e z a r o mówiła do niego przez chwilę po cichu.

— Moja siostra, rzekł Orso do miss Nevil, chce pani zrobić szczególny podarunek; ale my korsykanie, nie mamy wielkich rzeczy do

ofiarowania... wyjąwszy przywiązania... które nigdy nie gaśnie. — Siostra powiedziała mi że pani z ciekawością oglądałaś ten sztylet.— Jest to starożytność familijna. — Niezawodnie wisiał on kiedyś u boku jednego z tych kaporali, którym winienem zaszczytną znajomość pani. Colomba uważa go za tak szacowny, iż prosiła mnie o pozwolenie, aby ci go pani ofiarować; nie wiem czyli je mam udzielić, gdyż obawiam się dać pani powód do śmiéchu...

— Sztylet ten jest bardzo ładny, rzekła miss Lidja, lecz jest to broń familijna i nie mogę jéj przyjąć.

— To sztylet mego ojca, zawołała Colomba. Był on dany jednemu z przodków mojéj matki przez króla Teodora. Jeżeli go pani przyjmiesz, sprawisz nam wielką przyjemność.

— Nie chciéj pani, rzekł Orso, gardzić sztyletem króla.

Dla lubownika pamiątki po królu Teodorze są nierównie szacowniejsze, jak po najpotężniejszych monarchach. —Pobudka była silną

i miss Lidja widziała już skutek, jaki wyniknie z téj broni, położonéj na stoliku w jéj apartamencie Saint—Jame s-Place. Lecz... rzekła do Colomby biorąc sztylet z ociąganiem się, niby odmawiając i zarazem z uprzejmym uśmiéchem — droga Colombo... nie mogę.... nie śmiałabym cię na podróż rozbroić.

— Mój brat jest ze mną, powiedziała Colomba z dumą, i mamy dobrą strzelbę, którą nam ojciec pani darował. — Orso, czy nabiłeś ją kulą?.

Miss Nevil wzięła sztylet, a Colomba, ażeby odczarować grożące niebezpieczeństwo temu, kto daje przyjaciołom broń sieczną lub palną, wymagała jednego su jako zapłatę.

Orso raz jeszcze ścisnął rękę miss Nevil; Colomba pożegnała się z nią naprzód, a potém pocałowała swemi różowemi ustami pułkownika mocno zdziwionego tą korsykańską grzecznością. Z okna salonu miss Lidja widziała brata i siostrę siadających na konie.

Oczy Colomby błyszczały złośliwą radością; czego miss Lidja nie dostrzegła dotąd wcale. Ta wysoka i silna kobiéta, zabobonna, z dzikiém wyobrażeniem o honorze, z dumą na czole, z uszczypliwym uśmiéchem na ustach, wiodąca młodego człowieka uzbrojonego jakby na jaką wojenną wyprawę, przypomniała miss Nevil obawy Orsa, i zdawało jéj się, iż widzi już jak ona, jakby zły duch jaki, ciągnie go do zguby. Orso siedząc na koniu, podniósł głowę i postrzegł miss Lidją. Bądź to że odkrył jéj myśl, bądź że chciał przesłać ostatnie pożegnanie, wziął pierścionek egipski, który zawiesił był na sznureczku i przycisnął go do ust swych. — Miss Lidja zarumieniona opuściła okno; lecz po chwili powróciła znowu, i widziała korsykanów oddalających się galopem na swych konikach ku górom. W pół godziny potém, pułkownik za pomocą lunety pokazał ich miss Lidji w głębi zatoki; widziała ona, jak Orso obracał często głowę ku miastu. Znikł nakoniec

za bagnami, na których dziś wznosi się piękna szkoła topolowa.

Miss Lidja przejrzawszy się w łustrze, znalazła się bardzo bladą.

— Co ten człowiek może o mnie myśléć?.. rzekła; ale ja cóż myślę o nim?... i dla czego myślę?... Znajomość podróżna?... Ach ja go nie kocham!..... Nie, nie, nawet, to niepodobna... Colomba, Moja bratowa! improwizatorka! która nosi wielki sztylet! I w tém postrzegła się że trzyma w ręku sztylet króla Teodora. — Rzuciła go na toaletę. Colomba w Londynie, tańcująca á Almaks!.... Co za oryginał, wielki Boże!... On mnie kocha, jestem pewna... Jest to bohatér romansu, któremu przecięłam pasmo dni awanturniczych... Lecz miałże on rzeczywiście zamiar pomścić się śmierci ojca w Korsyce? Zrobiłam z niego prawdziwego dandy, a co większa, dandy podług korsykańskiego kroju.

Rzuciła się na łóżko i chciała zasnąć; ale nie mogła żadnym sposobem. Nie będę powtarzał długiego jéj monologu, w którym więcéj jak sto razy sobie powiedziała, że pan della Rebbia był, jest i będzie niczém dla niéj.

IX.

Tymczasem Orso podróżował z siostrą. Szybki bieg koni przeszkadzał im mówić; lecz jak tylko przykra górzystość zniewoliła ich postępować zwolna, zaczęli z sobą rozmawiać o przyjaciołach, których opuścili. — Colomba mówiła z zapałem o piękności miss Nevil

o pięknych błąd włosach, i miłém ułożeniu. Późniéj zapytała, czy pułkownik był tak bogaty jak się zdawało, i czy miss Lidja była jedynaczką. To byłoby korzystne małżeństwo rzekła, jéj ojciec, jak się zdaje, mu wiele dla ciebie przyjaźni.—A gdy Orso nic nie odpowiedział, mówiła daléj: Nasza rodzina była niegdyś bogatą, dziś jeszcze ma znaczenie na wyspie, —wiedzie początek od mieszkańców z tamtéj strony gór, i jedynie wojny domowe zniewoliły nas przejść na tę stronę. — Gdybym była na twojém miejscu Orso, nie wahałabym się prosić ojca o miss Nevil. (Orso wzruszył ramionami.) Za jéj posag, kupiłabym lasy Falsetta i winnice na dole, około nas; wybudowałabym piękny dom z kamienia ciosowego, podniosłabym o jedno piętro starą wieżę, gdzie Sambucucio, zabił za czasów hrabiego Henryka bel Missere.

—Colombo, mówisz od rzeczy odpowiedział Orso galopując.

— Jesteś mężczyzną Orso Anton, i wiész bezwątpienia lepiéj jak kobiéta, co masz czynić. — Ale chciałabym wiedziéć, coby ci anglicy zarzucić mogli przeciw temu związkowi. — Czy są kaporale w Anglji?..

Po długiéj podróży, brat i siostra przybyli do małego miasteczka niedaleko Bocognano, gdzie zatrzymali się na nocleg, u przyjaciela i krewnego.

Przyjęto ich z gościnnością właściwą korsykanom, któréj nie znając, nie można ocenić. — Nazajutrz gospodarz odprowadził ich milę od swego domu.

— Widzisz te drzewa i te gęste zarośle? rzekł do Orsa, w chwili pożegnania; gdy człowiek popełni jakie przestępstwo, może tu żyć dziesięć lat i żandarmy ani woltyżery nie przyjdą go tu szukać. Ten gaj dotyka lasu Vizzavona i kiedy kto ma przyjaciół w Boccognano, albo w okolicach, na niczém mu nie zbywa.—Masz dobrą strzelbę, powinna nieść daleko. Wielki Boże! co za gatu-

nek. Z niéj można zabić cóś więcéj jak dzika.

Orso zimno odpowiedział że jego strzelba jest angielska, i niesie bardzo daleko. — Uściskano się i każdy udał się w swą drogę.

Już nasi podróżni w niewielkiéj byli odległości od Pietranera, gdy przy wejściu do wąwozu, który trzeba było przebyć, dostrzegli siedmiu lub sześciu ludzi uzbrojonych strzelbami; jedni siedzieli na kamieniach; drudzy leżeli na trawie, a inni stali na straży. Konie ich pasły się niedaleko, — Colomba wydobyła z kieszeni skórzaną lunetę, którą wszyscy korsykanie mają w podróży, i przypatrzywszy się im:

— To nasi są ludzie, zawołała z radośną miną. — Pieruccio wypełnił dobrze polecenie.

— J cy ludzie? zapytał Orso.

— Nasi pasterze, odpowiedziała. Pozawczoraj kazałam wyjechać Pierucciowi

wraz z tymi dzielnymi ludźmi, aby ci towarzyszyli do domu. — Nie przystoi wjeżdżać do Pietranera bez eskorty, a nadto wiész że Barricini są na wszystko gotowi.

— Colombo, rzekł Orso tonem surowym, kilka razy prosiłem cię, abyś mi nie mówiła o Barricinich, i o twoich podejrzeniach bezzasadnych. Wystawiłbym się na śmiészność niezawodnie, gdybym wjeżdżał do miasta z tą zgrają próżniaków; przykro mi jest że ich zgromadziłaś nie uprzedziwszy mnie.

— Mój bracie, zapomniałeś o twoim kraju, do mnie więc należy bronić cię, gdy przez swą nieroztropność wystawisz cię na niebezpieczeństwo. Powinnam była to zrobić, co zrobiłam.

W téj chwili pasterze postrzegłszy ich dobiegli swych koni, i galopem ruszyli na ich spotkanie.

— Evviva Ors Anton! zawołał starzec silny, z brodą białą, okryty, pomimo upału płaszczem z korsykańskiego sukna grubszego jak kożuch z kozy. — To istny obraz ojca;

tylko nieco wyższy i mocniejszy. Jaka piękna strzelba! Będą mówić o téj strzelbie, Ors Anton!

EvvivaOrs Anton! powtórzyli razem wszyscy pasterze. Wiedzieliśmy dobrze że w końcu powróci.

—Ach! Ors Anton, rzekł gruby drągal z ceglastą cerą; jakżeby twój ojciec był kontent, gdyby tu był na twoje przyjęcie! Kochany człowiek! bylibyście go tu widzieli, gdyby chciał mi wierzyć, gdyby był mnie zostawił sprawę z Gwidem. Dzielny człowiek, nie wierzył mi, teraz jest przekonany że miałem słuszność.

— To nic nie szkodzi, przerwał starzec, Gwido nic nie straci na tém że poczeka. Evviva Ors Anton! I tuzin wystrzałów towarzyszył temu okrzykowi.

Orso, w bardzo złym humorze, pośród téj zgrai ludzi na koniach, rozmawiając z każdym z osobna i podając rękę każdemu, pozostał na chwilę w niepewności, co miał robić. Nakoniec przybierając postawę taką, jaką miał na

czele swego plutonu, gdy odbywał przegląd:

— Moi przyjaciele, rzekł, dziękuję wam za przywiązanie, które dla mnie okazujecie i jakie mieliście, dla mego ojca, — ale wymagam, ażeby nikt nie dawał mi rady. Wiem co mam czynić.

— Ma rozum, ma rozum, zawołali pasterze. — Pan wiész dobrze że możesz na nas rachować.

— Tak, liczę na was; ale teraz nie potrzebuję nikogo, albowiem żadne niebezpieczeństwo nie grozi memu domowi. Idzcież więc do swoich kóz, znam drogę do Pietranera i nie potrzebuję przewodników.

— Nie bój się niczego Ors Anton, rzekł starzec; Oni nie ośmielą się dziś pokazać. Mysz ucieka do dziury, gdy usłyszy kota?

— Ty sam jesteś kotem, staruszku z białą brodą, rzekł, Orso. — Jak się nazywasz.

— Co! i ty mnie nie poznajesz, Ors Anton, mnie, który cię tak często woziłem na moim mule? Nie poznajesz Polo Griffa? który duszą i ciałem należy do della Rebbiów. Powiédz słowo, skoro twoja wielka strzelba odezwie się, ten stary muszkiet, stary jak jego pan, nie będzie także milczał. Rachuj na nas Ors Anton!

— Dobrze, dobrze, ale do wszystkich djabłów idzcie ztąd i pozwólcie mi jechać.

Pasterze oddalili się wkońcu zmierzając wielką drogą ku wsi; zatrzymywali się jednak na wszystkich punktach wzniesionych, ażeby wyśledzić, czy nie ma jakiéj ukrytéj zasadzki, i zawsze trzymali się w niewielkiéj odległości od Orsa i jego siostry aby w potrzebie mogli przybyć im na pomoc. Stary Polo Griffo rzekł do swych towarzyszy:

— Pojmuję go, pojmuję. On nie chce mówić co zrobi lecz zroki. To prawdziwy obraz ojca.

Tak tedy poprzedzany przez gromadę pasterzy, potomek della Rebbiów wjechał do Pietranera i zbliżył się do siedliska kaporalów swych dziadów. Rebbianisci, długi czas pozbawieni naczelnika, zgromadzili się na jego spotkanie, a mieszkańcy wsi do żadnéj strony nienależący wyszli wszyscy przed swe domy, ażeby przypatrzyć się temu wjazdowi. Barriciniści przeciwnie pozostali w domach i tylko przez szpary przypatrywali się.

Wieś Pietranera zabudowana jest nieregularnie, jak wszystkie w Korsyce; bo chcąc widzieć ulicę, potrzeba iść do Cargese wystawionéj przez pana de Marboeuf. — Domy tu i owdzie porozrzucane bez żadnego ładu, zajmują powierzchnią wzgórza. W środku wsi wznosi się wielki dąb zielony, a przy nim tuż, granitowy rezerwoar z rurką drewnianą dostarczający wody z pobliskiego zródła, który wystawiony został wspólnym kosztem Rebbianistów i Barricinich, dla publicznego użytku. Mylonoby się jednak

gdyby w tém chciano szukać wskazówki dawnéj zgody tych dwóch familji. Przeciwnie, to było dziełem ich zazdrości. Pułkownik della Rebbia przesłał radzie municypalnéj pewną summę na wystawienie rezerwuaru, adwokat Barricini, nie dając się wyprzedzić, podobną zrobił ofiarę, a tak, szlachetnéj zwadzie wioska winna swą wodę. W około dębu rozciąga się duży plac, gdzie wieczorem, zgromadzają się próżniacy; niekiedy grywają tam w karty, a raz w rok, to jest w karnawał zabawiają się tańcem. W dwóch końcach wznoszą się budynki wyższe jak szersze, podobne do gołębników, z ciosowego kamienia. Są to wieże nieprzyjacielskie Rebbianistów i Barricinich. Architektura ich jednostajna, wysokość jednakowa, ztąd widać że los nigdy nie dał przewagi którejkolwiek z tych dwóch rodzin rywalizujących.

Wieża della Rebbiów wraz z domem, zajmuje stronę północną placu, a Barricinich stronę południową i połowa tego placu, od domu do pompy, służyła za przechadzkę Rebbianistom, druga połowa Barricinim. Od czasu śmierci żony pułkownika, ani noga przeciwników nie postała na cudzym placu. Orso unikając dłuższéj drogi wjechał prosto przez plac, obok domu Barricinich, mimo że siostra usiłowała odwrócić go na baczną uliczkę, ażeby nie przejeżdżać obok nieprzyjaciół.

— Dla czegóż nie mamy prosto jechać? rzekł, czy plac nie jest dla wszystkich?

I dał koniowi ostrogę.

— Odważny! rzekła po cichu Colomba..Mój ojcze, będziesz pomszczony. Kiedy przejeżdżali obok domu Barricinich, Colomba miała ciągle wlepione oczy na okna przeciwników. Dostrzegła że od niejakiego czasu zabarykadowali się i śledzili ich tylko przez strzelnice.

—Tchurze, zawołała. Widzisz bracie już się strzegą. Barykadują się! ale przyjdzie dzień że wyjść będą musieli!

Obecność Orsa na téj stronie placu wzbudziła szemrania w Pietranera, a nawet uważano to za śmiałość do junactwa posuniętą. Dla neutralnych było to przedmiotem gadaniny bez końca, przy zielonym dębie. Szczęście, mówiono że synowie adwokata Barriciniego nie powrócili, bo oni nie zcierpieliby téj zniewagi jak adwokat, i być może nie pozwoliliby bezkarnie przechodzić ich plac. Pamiętaj o tém, co ci powiem, sąsiedzie, rzekł starzec, który był wyrocznią całéj wioski. Uważałem dziś na Colombę, ona ma cóś w głowie. Czuję proch w powietrzu. Nie długo w Pietranera będzie świéże mięso.

X.

Orso opuścił dom rodzicielski w dzieciństwie, na widok więc miejsc tych, na widok sprzętów matki, które go czule kochała, powstały w jego duszy wzruszenia słodkie i przykre zarazem; potém, przyszłość ponura jaka się gotowała dla niego, niespokojność

jakiéj go nabawiała siostra, a nadewszystko wspomnienie że miss Lidja ma dom jego odwiédzić, który w téj chwili zdawał mu się tak małym, tak ubogim, tak nieprzyzwoitym dla osoby przyzwyczajonéj do zbytków: wszystkie te myśli, spowodowały w jego głowie chaos i odjęły mu odwagę.

Usiadł do wieczerzy w wielkim dębowym krześle ojca, w którym on na uroczystościach familijnych prezydował, i uśmiéchnął się widząc że Colomba waha się, czy ma z nim zasiąść razem. Bardzo jéj był wdzięcznym, że w czasie wieczerzy zachowała milczenie i wkrótce potém oddaliła się; gdyż czuł że nie byłby w stanie oprzéć się jéj natarczywym żądaniom, których od niéj spodziewał się; lecz Colomba oszczędzała go zostawiawiając mu czas, ażeby się lepiéj we wszystkiém rozpatrzył. Oparty na łokciu długi czas marzył przebiegając w myśli sceny ostatnich dni piętnastu; z przerażeniem widział to oczekiwanie zemsty na Barricinich, jakiéj każdy od niego zdawał się wymagać.

Już się przekonywał, że opińja Pietranery, stawała się dla niego opińją świata. Powinien się pomścić, pod haniebną karą uchodzenia za tchurza. Lecz na kim się pomścić? Barricinich nie mógł o morderstwo posądzić. — Wprawdzie byli nieprzyjaciołmi jego familji,lecz trzeba było tylko grubych przesądów jego rodaków, aby im przypisać morderstwo. Niekiedy wpatrywał się w talizman miss Nevil i powtarzał cicho to godło » życie jest walką. Nakoniec zawołał ze stałością":

— Wyjdę zwycięzko! — Z tą dobrą myślą podniosł się, i wziąwszy lampę szedł prosto do swego pokoju,gdy w tém zasztukano do drzwi. Na wizytę godzina nie była właściwą. Colomba pokazała się natychmiast, wraz ze służącą.

— To nic, rzekła biegnąc do drzwi. Jednak nim otworzyła, zapytała kto sztuka. Głos łagodny odpowiedział:

— To ja.

Natychmiast zdjęto drewniany drąg zapierający drzwi, i Colomba powróciła do sali jadalnéj z dziesięcioletnią dziewczynką okry-

tą łachmanami a na głowie mającą podartą chustkę, z pod któréj wymykały się kosmyki włosów czarnych jak skrzydła kruka. Dziécię było suche, blade, opalone od słońca, ale w oczach błyszczał ogień pojętności. Widząc Orsa, zatrzymała się bojaźliwie i skłoniła po wiejsku, potém mówiąc cicho do Colomby, oddała jéj bażanta, świéżo zabitego.

— Dziękuję, Chili, rzekła Colomba. Podziękuj twojemu stryjowi. — Ja się on ma?

— Dobrże, panno, do usług. Nie przyszłam wcześniéj, bo się bardzo spóźnił. Czekałam go trzy godziny w zaroślach.

— I nie jadłaś kolacji?

— Tak jest panno, nie miałam czasu.

— Niech ci dadzą jeść. Twój stryj ma jeszcże chléb?

— Trochę, panno; ale najgorżéj że nie ma prochu. Teraz są kasztany i już nic nie potrzebuje, tylko prochu.

— Dam ci chleba i prochu. Powiédz mu żeby oszczędzał, bo drogi.

— Colombo, rzekł Orso po francuzku, komu ty udzielasz wsparcie?

— Biédnemu bandycie z téj wioski, odpowiedziała Colomba w tym samym języku. Ta mała jest jego siostrzenicą.

— Zdaje mi się, żebyś mogła lepiéj użyć twych ofiar. Dla czego posyłać proch łotrowi, który mu posłuży do zbrodni? Żeby nie uprzedzenie, jakie tu wszyscy mają dla bandytów, oddawna by ich w Korsyce nie było.

— Najniegodziwsi w naszym kraju nie są ci, którzy są bandytami. (1)

— To daj im chleba, jeżeli chcesz, bo tego nikomu odmawiać nie godzi się, ale nie pojmuję dla czego im dostarczać prochu.

(1) Bandyta, nieoznacza w Korsyce rozbójnika, ale się bierze w znaczeniu wygnańca.

— Bracie, rzekła Colomba poważnie, jesteś tu panem, i wszystko w tym domu do ciebie należy; ale uprzedzam cię, prędzéjbym oddała téj dziewczynie moje mezzaro, ażeby go sprzedała, niżbym miała odmówić prochu bandycie. Jemu nie dać prochu! to znaczy oddać go żandarmom. Czemże się przed niémi zasłoni, jeżeli nie kulą?

Tymczasem mała dziewczynka z chciwością zajadała kawałek chleba, i uważnie spoglądała na Colombę i jéj brata, pragnąc z ich oczu wyczytać, co mówią.

— I co téż zrobił twój bandyta? Dla jakiéj zbrodni uciekł w zarośla?

— Brandolacio wcale nie dopuścił się zbrodni! zawołała Colomba. Zabił Giovana Opizo, który mu zamordował ojca, kiedy on był w wojsku.

Orso odwrócił się, wziął lampę, i nic nie odpowiedziawszy, poszedł do swego pokoju. Wtedy Colomba dała prochu i żywności dziewczynie, i odprowadziła ją aż do drzwi, powtarzając jéj. »Nadewszystko, niech twój stryj czuwa dobrze nad Orsem!"

XI.

Długi czas Orso nie mógł zasnąć, i dla tego wstał bardzo późno, a przynajmniéj jak na korsykanina. Zaledwie podniósł się, piérwszy przedmiot, jaki uderzył jego oczy, był dom nieprzyjaciół i strzelnice w nim urządzone. Wyszedł i zapytał o siostrę. »Jest

w kuchni, leje kule, odpowiedziała służąca. A tak kroku nie mógł zrobić, ażeby go obraz wojny nie prześladował.

Znalazł Colombę siedzącą na ławce otoczoną kulami świéżo ulanémi.

— Co robisz Colombo? zapytał:

— Nie masz kul do strzelby pułkownika, odpowiedziała łagodnie, znalazłam formę kalibrową i dziś, mój bracie, będziesz miał 25 kul.

— Nie potrzebuję ich Bogu dzięki!

— Trzeba mieć zawsze w zapasie, Ors' Anton! Zapomniałeś o twoim kraju i o ludziach, którzy cię otaczają.

— Byłbym zapomniał, ale ty mi zbyt często przypominasz. Powiédz mi, czy nie przywieziono tu przed kilku dniami walizy.

— Tak bracie. Czy chcesz, żebym ci ją zaniosła do twego pokoju?

— Ty chcesz ją zanieść; nie miałabyś siły podnieść jéj nawet... Czy nie ma tu jakiego mężczyzny aby ją przeniósł?

— O! nie jestem tak słaba, jak myślisz, rzekła Colomba, zawijając rękawy, i pokazując rękę białą, okrągłą, dobrze zbudowaną, a zarazem rokującą moc nadzwyczajną. Pójdź Saverja, rzekła do służącéj, pomóż mi. Już podnosiła sama ciężką walizę, gdy Orso pośpieszył jéj na pomoc.

— W téj walizie, droga Colombo, jest cóś dla ciebie. Przebaczysz mi, że ci robię tak małe podarunki, lecz kieszeń porucznika na pół żołdzie nie zbyt bogata.

Mówiąc to otworzył walizę i wydobył kilka sukien, szal i inne przedmiota dla użytku młodéj osoby.

— Ileż ładnych rzeczy! zawołała Colomba. Chciałabym je zaraz zamknąć, z bojaźni aby się nie popsuły. Zachowam je na swoje wesele, dodała ze smutnym uśmiéchem, bo teraz jestem w żałobie.

I pocałowała rękę brata.

— Czy z upodobania, moja siostro, nosisz tak długo żałobę?

— Przysięgłam, rzekła Colomba z poważną postawą. Nie zdejmę żałoby...... W tém spojrzała przez okno na dom Barricinich.

—Jak w dzień ślubu? przerwał Orso chcąc uniknąć końca.

— Nie pójdę za mąż, rzekła Colomba, jak za mężczyznę, który trzy rzeczy zrobi...

I ciągle spoglądałae szczególnym wyrazem twarzy na dom Barricinich.

— Przy takiéj piękności, jak ty Colombo, dziwię się żeś dotąd za mąż nie poszła. No, powiédz mi, kto téż się o ciebie starał. Sądzę że nasłucham się dość serenad. A muszą być piękne, ażeby się podobały tak wielkiéj, jak ty, improwizatorce.

— Któżby chciał wziąść biédną sierotę?..... A nadto, mężczyzna, który ze mnie zdejmie żałobę,musi sprawić ją kobiétom, tam—naprzeciwko.

— To dziecińswo, rzekł do siebie Orso. Lecz nic nie odpowiedział, aby uniknąć zupełnego wyjaśnienia.

— Mój bracie, rzekła Colomba z miną pochlébną, i ja także mam ci cóś ofiarować. Ubranie twoje jest za nadto wykwintne, jak na nasze strony. Piękny twój surdut za dwa dni rozleciałby się na kawałki, gdybyś w nim poszedł w zarośla. Trzeba go schować, dopóki nie przyjedzie miss Nevil. Potém otworzywszy szafkę,wydobyła całkowity ubiór strzelca.—Zrobiłam ci strój axamitny, a oto czapeczka, jaką noszą nasi eleganci; wyhaftowałam ją dla ciebie oddawna. Czy chcesz przymierzyć?

I ubrała go w szeroką suknię z zielonego axamitu opatrzoną na plecach ogromną kieszenią. Włożyła mu na głowę czapkę szpiczastą, z aksamitu czarnego, naokoło jedwabiem haftowaną, z kutasikiem na końcu.

— Oto ładownica naszego ojca, rzekła; sztylet jego jest w kieszeni. Pójdę poszukam jeszcze pistoletu.

— Mam postać prawdziwego rozbójnika, z Ambigu-Comique, rzekł Orso przeglądając

się w małém lusterku, które mu podała Sawerja.

—! Ach pan bardzo dobrze wyglądasz, Ors Anton' odezwała się stara służąca; najpiękniejszy młodzieniec z Bocognano albo Bastelici ustąpić panu musi.

Orso jadł śniadanie w nowém ubraniu; skończywszy, powiedział siostrze, że w walizie jest kilka książek, które przywiózł dla niéj aby je przeczytała. To wstyd, Colombo, dodał, aby tak słuszna panna jak ty, nie wiedziała o rzeczach, o których na stałym lądzie dzieci nawet wiedzą.

— Masz słuszność, bracie, powiedziała Colomba; wiem dobrze na czém mi zbywa, i nic tak mocno nie pragnę, jak uczyć się, a nadewszystko jeżeli ty mi będziesz przewodniczył.

Kilka dni upłynęło, a Colomba nie wspominała bynajmniéj o Barricinich. Zawsze była uprzedzającą dla brata i często mówiła o miss Nevil. Orso czytał jéj dzieła fran-

cuzkie i włoskie,i raz musiał dziwić się trafności jéj zdania, drugi raz niewiadomości w rzeczach najpospolitszych.

Pewnego poranku,pośniadaniu,Colomba wyszła na chwilę, i zamiast powrócić z książką i papiérem,przyszła w swojém mezzaro na głowie. Postawa jéj poważniejszą była jak zwyczajnie.—Mój bracie, rzekła,prosić cię będę abyś poszedł ze mną.

— Dokąd chcesz, abym ci towarzyszył, rzekł Orso podając jéj rękę.

— Nie potrzebuję twéj ręki, bracie, ale weź strzelbę i ładownicę; mężczyzna nigdy bez broni wychodzić nie powinien.

— Wybornie! Trzeba się zastosować do mody. Gdzież pójdziemy?

Colomba nie odpowiedziawszy, okręciła mezzaro około głowy, zawołała psa i wyszła, a brat pośpieszył za nią. Opuściwszy śpiesznie wioskę, szła wąwozem wijącym się przez winnice; dała znak psu swojemu, który

zdawał się jéj wolą pojmować, gdyź biegł w zygzak to na jednę to na drugą stronę winnicy, zawsze o 50 kroków od swojéj pani, i niekiedy zatrzymywał się na środku drogi poruszając ogonem. Wypełniał niejako obowiązek przewodnika.

— Jeżeli Muscheto zawyje, rzekła Colomba, uchwycisz bracie za strzelbę i staniesz w miejscu, nieporuszony.

Od pół mili od wioski, Colomba wstrzymała się nagle na zakręcie drogi, w miejscu gdzie wznosiła się mała piramida z gałązek zielonych i suchych, nagromadzonych do wysokości trzech stóp prawie. Na wierzchołku sterczał krzyż czarno pomalowany. W wielu kantonach Korsyki, a mianowicie w górach, zwyczaj zapewne jeszcze pogański, zobowiązuje przechodzących do rzucenia kamienia lub gałązki drzewa w to miejsce, gdzie jaki człowiek zginął śmiercią gwałtowną. Ofiarę tę, która najdawniejszych sięga czasów, nazywają a m a s albo m u c c h i o.

Przed tą kupą liści i gałązek, zatrzymała się Colomba i urwawszy gałązkę z krzaku, przyrzuciła ją do piramidy.—Orso, rzekła, tu umarł nasz ojciec. Módlmy się bracie za jego duszę.

Uklękła; a Orso obok niéj. W téj chwili odezwał się powolny głos dzwonu wiejskiego, gdyż téj nocy ktoś umarł w Pietranera. Orso zalał się łzami.

Po upływie kilku minut, Colomba podniosła się z okiem suchém, ale z postawą ożywioną; przeżegnała się na prędce, przy czém korsykanie zwykle robią jaką uroczystą przysięgę, i wziąwszy pod rękę brata, poszła drogą do wsi. Do domu powrócili w milczeniu, a Orso poszedł natychmiast do swego pokoju. Po chwili, weszła za nim Colomba niosąc małą skrzyneczkę, którą postawiła na stole, i otworzywszy ją wydobyła koszulę okrytą szerokiemi plamami krwi. — Oto koszula twojego ojca, Orso! I rzuciła mu ją na kolana. Oto ołów, który odebrał mu ży-

cie. I położyła na koszuli dwie kul zaśniedziałych.

— Orso, mój bracie! zawołała, rzucając się w jego objęcia i przyciskając go z całéj mocy; Orso! ty go pomścisz; ściskała go z pewnym rodzajem szaleństwa, ucałowała kule i koszulę, i wyszła z pokoju, zostawiając brata iakby skamieniałego na krześle.

Orso przez kilka chwil pozostał nieruchomy, nie śmiejąc odsunąć od siebie tych straszliwych pamiątek. Nakoniec zdołał z ostatniém wysileniem włożyć to wszystko napowrót w skrzyneczkę, poszedł w drugi kąt pokoju i rzucił się na łóżko, zakrywszy głowę kołdrą, jakby chciał uwolnić się od widoku jakiego widma. Ostatnie wyrazy siostry ciągle brzmiały w jego uszach, i zdawało mu się że słyszy smutną wyrocznią, która żądała od niego krwi, i do tego krwi niewinnéj. Napróżnobym usiłował oddać tutaj myśli tego nieszczęśliwego młodzieńca; myśli pomięszane, jak w głowie warjata.

Przez długi czas zostawał w takiém położeniu, obawiając się na chwilę nawet odwrócić głowę. Nakoniec podniosł się, zamknął skrzyneczkę i wyszedłszy z domu, pobiegł na pole nie wiedząc dokąd dąży.

Zwolna świeże powietrze orzeźwiło go; uspokoił się i zaczął badać swoje położenie, tudzież środki wydźwignienia się z niego. Już wiémy, że nie miał żadnego podejrzenia na Barricinich; oskarżał ich tylko o sfałszowanie listu bandyty Agostiniego, a list ten uważał za przyczynę śmierci ojca. Ścigać ich jako fałszerzy, osądził za rzecz niepodobną. Jeżeli czasem przesądy okazywały mu zemstę łatwą, na zakręcie jakiéj ścieszki, od" pędzał je z przerażeniem, myśląc o swoich towarzyszach kampańji, o salonach paryzkich, a nadewszystko o miss Nevil. Lecz z drugiéj strony przychodziły mu na myśl wyrzuty siostry, a to, co pozostało w nim jeszcze z charakteru korsykańskiego, usprawiedliwiało te wyrzuty, jątrząc go bardzjéj jeszcze zarazem. Jedna pozostała tylko nadzieja dla

niego w pośród téj walki przesądów i sumienia, to jest wynalezienie jakiejkolwiek zaczepki z synami adwokata, a następnie pojedynek. Zabić którego kulą lub szpadą zgadzało się z korsykańskiemi wyobrażeniami i francuzkim honorem. Wziąwszy takie postanowienie niejaką uczuł ulgę; wkrótce myśl słodsza jeszcze pomogła mu do uspokojenia jego wzruszeń. Kiedy Cycero rozpaczał po śmierci córki, Tulji, zapomniał o boleści,rozwinąwszy w swojém umyśle te wszystkie piękne rzeczy, jakie mógłby powiedzieć z téj okoliczności;Orso zaś cieszył się nadzieją że będzie mógł skreślić miss Nevil obraz swéj duszy, obraz, który bezwątpienia silnie zajmie tę młodą osobę.

Zbliżał się już do wioski,od któréj zbytecznie się był oddalił mimowolnie, gdy w tém usłyszał głos małéj dziewczynki, która sądząc iż jest samą na ścieszce wijącéj się brzegami zarośli, śpiéwała głośno. Była to nuta powolna jednotonna i pogrzebowa. Dziewczynka śpiéwała:

» Do mego syna, mego syna, w kraju dalekim; zachowaj mój krzyż i koszulę zakrwawioną.''

— Co ty śpiewasz, mała? rzekł Orso z gniewem, pokazując się nagle.

— To pan Orso! zawołała dziewczynka, nieco przerażona..... To jest piosenka panny Colomby.....

— Zabraniam ci jéj śpiewać, rzekł Orso głosem strasznym.

Dziewczynka obracając głowę na prawo i lewo, zdawała się uważać, z któréj strony lepiéj będzie uciekać, i pewnieby była zemknęła, gdyby jéj nie wstrzymywała paczka duża, która leżała przed nią na trawie.

Orso zewstydził się swéj gwałtowności.

— Co ty niesiesz, maleńka? zapytał jak tylko mógł najłagodniéj.

A gdy Chilina o iągała się z odpowiedzią podniósł płutno okrywające paczkę i

i ujrzał chléb i inne zapasy żywności.

— Dla kogo niesiesz chléb, moja duszo? zapytał jéj.

— Pan to dobrze wié, — dla mego stryja.

— A twój stryj, czy nie bandyta?

— Tak jest, na usługi pana, Ors' Antonio.

— Gdyby cię spotkali żandarmy i zapytali gdzie idziesz...

— Odpowiedziałabym im, odrzekła dziewczynka bez wahania się, że niosę żywność ludziom, którzy rąbią w zaroślach.

— A gdybyś napotkała zgłodniałych strzelców, którzy twoim kosztem chcieliby zjeść śniadanie i zabrać ci żywność?...

— Nie śmieliby. Powiedziałabym że to dla mego stryja.

— W rzeczy saméj, nikt się nie odważy zabrać mu jego obiad...Czy kocha cię mocno twój stryj?

— Oh! bardzo, panie. Jak tylko mój ojciec umarł, on ma staranie o familji; o matce,

o mnie, i o mojéj małéj siostrze. Kiedy matka jeszcze była zdrowa, on ją polecał bogatym, ażeby jéj dawali robotę. Mer daje mi co rok sukienkę, proboszcz uczy mnie katechizmu i czytania, od tego czasu, jak z nimi mój stryj mówił. Ale pana siostra najwięcéj nam pomaga.

W téj chwili pokazał się na ścieszce pies. Dziewczynka wetchnąwszy w usta dwa palce świsnęła mocno; natychmiast pies przybiegł do niéj, okazując oznaki radości i po chwili zniknął znowu w zaroślach. Wkrótce potém dwóch ludzi źle ubranych, lecz dobrze uzbrojonych, wyszło zza krzaku, o kilka kroków od Orsa.

— Ach! Ors' Antoń'... witam, rzekł starszy z tych dwóch ludzi. No cóż! nie poznajesz pan mię?

— Nie, rzekł Orso, wpatrując się w niego uważnie.

— To śmieszna rzecz że broda i czapka szpiczasta tak zmienia ludzi! Lecz przypatrz mi się, mój poruczniku. Czyliż zapomniałeś swoich dawnych towarzyszy z pod Vaterloo! Nie przypominasz pan sobie Brandolacia Savelli, który nie jeden odgryzł ładunek obok pana, w tym dniu nieszczęśliwym?

— Jak to! To ty? rzekł Orso. Tyś dezerterował w roku 1816?

— Tak jest, mój poruczniku. Wprawdzie służba się nudzi, a nadto miałem tu w kraju jednę sprawę do załatwienia.—Cha, cha! moja Chili, ty jesteś dobra dziewczyna. Podajno tutaj co masz, gdyż jesteśmy głodni. Nie wyobrazisz sobie poruczniku, jak smaczno się jada w naszych zaroślach. Lecz któż to nam przysyła, czy panna Colomba, czyli też mer?

—Nie, mój stryju, to młynarka dała dla ciebie, a kołdrę dla mojéj matki.

— Cóż ona chce?

— Powiada że rodzina Lucquois. od któréj wzięła grunta do wykarczowania, żąda już te-

raz 35 soldów i osępu, z powodu gorączki panującéj w Pietranera.

— Próżniaki! wejrzę ja w to. Lecz poruczniku zasiądź z nami do obiadu! Nie raz gorzéj jedliśmy razem, za czasów naszego biédnego ziomka, nim odesłany został na reformę.

— Bardzo dziękuję! I mnie także uwolniono od służby z połową żołdu.

— Tak jest, słyszałem o tém, lecz założyłbym się iż nie gniewasz się wcale o to. No, doktorze, rzekł bandyta do swego towarzysza, do stołu! Mój poruczniku, przedstawiam ci pana doktora, wprawdzie nie jestem pewny, czy on jest doktorem, lecz posiada naukę.

Brandolacio położył chléb i mięso przed swoim towarzyszem i zaczął sam jeść, dając niekiedy po kawałku swemu psu, Brusco, którego chwalił przed Orsem, jako obdarzonego szczególniejszym instynktem, iż może rozpoznać strzelca rządowego pod wszelkiém przebraniem.

— Piękne to jest życie bandyty! zawołał jego towarzysz posiliwszy się cokolwiek. Może doświadczysz go kiedy, panie della Rebbia i uczujesz, jak to słodko nie mieć innego pana, oprócz swojego kaprysu. Dotąd bandyta wyrażał się po włosku, lecz daléj zaczął mówić po francuzku: Korsyka nie jest krajem bardzo przyjemnym dla młodzieńca spokojnie żyjącego; lecz dla bandyty, co za różnica! Kobiéty szaleją za nami. Ja naprzykład, mam trzy kochanki, w trzech różnych kantonach. Jestem wszędzie jak w domu. Jedna z nich jest nawet żoną żandarma.

— Tam dobrze posiadasz język francuzki, rzekł Orso poważnie.

— Jeżeli mówię po francuzku, to tylko jak pan widzisz: » Maxima debetur pueris reverentia. " My utrzymujemy, Brandolacio i ja, że mała zwija się dobrze i chodzi prosto.

— Kiedy będzie miała 15 lat, rzekł stryj Chilini, wydam ją za mąż.

— Czy ty każesz starać się o nią? rzekł Orso.

— Bezwątpienia. Czy pan sądzisz, że kiedy powiem któremu bogaczowi w kraju, ja, Brando Savelli, życzę sobie aby twój syn zaślubił Michelinę Savelli, iż on da się za uszy ciągnąć?

— Nie radziłbym mu tego, rzekł drugi bandyta; towarzysz ma ciężką rękę, umié znaglić do posłuszeństwa.

Brandolacio przerwał mu, pokazując iż słońce miało już zachodzić i rzekł: — Ponieważ nie chciałeś pan jeść z nami obiadu, Ors' Anton', radzę ci, abyś nie dał na siebie dłużéj czekać pannie Colombie. A nadto nie jest to dobrze biegać po drogach, kiedy słońce zajdzie. — Dla czego wychodzisz pan bez fuzji? Są źli ludzie w okolicy; miéj się pan na ostróżności.... Ale, nie podziękowałem panu za proch; w samą

porę go dostałem. Teraz już mi nie nie brakuje..... to jest, brakuje mi tylko trzewików..... lécz zrobię sobie w tych dniach ze skury dzikiego barana.

Orso wsunął 10 franków w rękę bandyty.

— To Colomba przysłała ci proch, a to na kupienie trzewików.

— Żadnych głupstw! mój poruczniku, zawołał Brandolacio oddając mu pieniądze. Czyliż uważasz pan mię za żebraka? Przyjmuję chléb i proch, lecz nic więcéj.

— Sądziłem że starzy żołnierze mogą przecież pomagać sobie. No, bywaj zdrów!

Lecz piérwéj nim odszedł, wsunął nieznacznie pieniądz w sakwy bandyty.

Orso opuścił już od kwadransa swoich towarzyszy, gdy usłyszał biegnącego za sobą człowieka. Był to Brandolacio.

— To zanadto! mój poruczniku, zawołał zadyszany, to zanadto! Oto pańskie dziesięć franków. Od kogo innegó nie przyjąłbym takich żartów. Mój ukłon pannie Colombie, jestem cały zdyszany. Dobréj nocy.

XII.

Orso znalazł Colombę niespokojną cokolwiek, z powodu tak długiéj jego nieobecności; skoro go ujrzała jednak, przybrała owę smutną pogodę czoła, która byłą jéj zwykłym twarzy wyrazem. Przy wieczerzy mówili o obojętnych rzeczach, i Orso ośmielony spo-

kojnością swéj siostry opowiedział jéj spotkanie swoje z bandytami.

— Brandolacio jest poczciwym człowiekiem, rzekła Colomba, Castriconi zaś jak słyszałam, ma być człowiekiem bez żadnych zasad.

— Ja sądzę, rzekł Orso, że jeden wart tyle co i drugi. Obadwa są w otwartéj wojnie ze społeczeństwem. Jedna zbrodnia wciąga ich codziennie w inne; a jednak, oni nie są może bardziéj występni, jak wiele innych ludzi, którzy nie mieszkają w zaroślach.

Promień radości ożywił czoło jego siostry.

— Tak jest, mówił daléj Orso; ci nędznicy mają honor sobie właściwy. Nie chciwość nikczemna, lecz straszliwy przesąd wtrącił ich w ten rodzaj życia.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Mój bracie, rzekła Colomba nalewając mu kawę, czy wiész że Baptiste Pietri umarł przeszłéj nocy?

—Co to za Pietri?

— To człowiek z téj wioski, mąż Magdaleny, która odebrała pugilares z rąk naszego ojca umierającego. Wdowa jego prosiła mię abym przytomną była pogrzebowi i zaśpiéwała cokolwiek. Wypada także ażebyś i ty poszedł. To są nasi sąsiedzi, i nie można odmówić im téj grzeczności.

— Wcale mi się to nie podobało, Colombo, żeby moja siostra robiła z siebie widowisko.

— Moj bracie, odpowiedziała Colomba, każdy czci zmarłych podług swego zwyczaju. Ballatę mamy od naszych przodków i powinniśmy ją szanować jako dawny zwyczaj. Magdalena nie posiada talentu, stara Fiordispina, najlepsza improwizatorka w kraju jest słabą. Trzeba jednak żeby ktoś zaśpiéwał ballatę.

— Czy sądzisz że nieboszczyk nie znajdzie swéj drogi na tamtym świecie, jeżeli nie zaśpiéwacie mu nad trumną nędznych wiérszy? Idź jeżeli chcesz na pogrzeb, Colombo; ja sam nawet pójdę, kiedy sądzisz, iż powinienem iść, lecz nie improwizuj; to nie przystoi dla twojego wieku, proszę cię o to, moja siostro.

— Bracie mój, ja przyrzekłam. Wiész że to jest w zwyczaju tutaj, a ja tylko jedna potrafię improwizować.

— Niedorzeczny zwyczaj!

— Ja sama wiele cierpię nad tém iż muszę śpiéwać. To przypomina mi wszystkie nasze nieszczęścia. Jutro nawet słabą będę z tego powodu; lecz potrzeba. Pozwól mi, mój bracie. Przypomniéj sobie że w Ajacio mówiłeś mi ażebym improwizowała dla zabawy téj panny, angielki, która szydzi sobie z naszych dawnych zwyczajów; czyliż nie powinnam zaimprowizować dzisiaj dla tych biédnych ludzi, którzy będą mi wdzięczni za to?

— A więc, rób co chcesz. Założyłbym się iż ułożyłaś już twoję balladę i nie chcesz jéj utracić.

— Nie, mój bracie, nie mogłabym jéj naprzód ułożyć. Staję przed zmarłym i przywodzę sobie na pamięć tych, którzy pozostają. Serce moje wzrusza się i śpiéwam co mi na myśl przychodzi.

To wszystko powiedziała z taką prostotą, że nie podobna było przypuścić najmniejszéj miłości własnéj w sińorze Colombie. Orso dał się nakłonić i udał się z siostrą do domu Pietra. Zmarły leżał na stole z twarzą odkrytą, w największéj izbie domu; rodzina jego i zgromadzeni przyjaciele stali naokoło. Colomba wszedłszy uściskała wdowę i trzymając jéj rękę stała przez kilka minut z oczami spuszczonemi. Potém odrzuciwszy w tył mezzaro spojrzała na zmarłego i zaczęła improwizować. Zwracała mowę już to do zmarłego, już do jego rodziny; niekiedy znowu mówiła imieniem nieboszczyka, pocieszała jego przyjaciół i dawała

im rady. Twarz jéj coraz bardziéj przybierała szczytny wyraz; policzki jéj powlekły się przezroczym rumieńcem, który podwyższał blask jéj zębów i ogień ciemnych oczu. To była prawdziwa Pythia na swoim trójnogu. Cisnący się naokoło niéj tłum zachowywał głębokie milczenie, które niekiedy tylko przerywane było stłumioném łkaniem.

Nagle lekkie poruszenie zrobiło się wzgromadzeniu; koło się rozstąpiło i weszło kilka obcych osób. Z okazywanego im uszanowania i pośpiechu, z jakim zrobiono miejsce, widoczném było, iż to były znakomite osoby, których obecność czyniła zaszczyt temu domowi. Jednakże przez wzgląd na ballatę nikt się do nich nie odezwał. Ten, który wszedł piérwszy, miał około lat 40. Jego ubiór czarny, wstążeczka czerwona przy guziku, i wyraz powagi na twarzy okazywały zaraz z piérwszego wejrzenia iż to był prefekt. Za nim szedł starzec zgarbiony, z cerą żółciową i bojaźliwém i niespo-

kojném spojrzeniem, a obok niego dwóch wysokich młodzieńców z twarzą ogorzałą od słońca i wielkiemi faworytami. Był to adwokat Barricini, m e r gminy Pietranera, który przyszedł z swojemi synami okazać prefektowi obrzęd pogrzebowy.

Twarz Colomby na widok tego człowieka, któremu poprzysięgła śmiertelną nienawiść, pokryła się nadzwyczajną bladością; głos jéj ochrzypł, słowa obumarły na ustach.. lecz wkrótce zaczęła znowu swoję b a l l a t ę z większą gwaltownością.

» Karolu Baptyście! przyjmij ostatnie pożegnanie twoich przyjaciół — już łez ich dosyć płynęło. — Jedna tylko biédna siérota nie płacze. — Dla czegóż miałaby płakać nad tobą?

Usnąłeś syt wieku — wpośród rodziny — przygotowany stanąć przed tronem przedwiecznego. — Sierota opłakuje swojego ojca — zabitego zdradziecko przaz nikczemnych morderców!— Ona zebrała krew jego rozlaną na zielonéj darni, — tę krew szlachetną i nie-

winną, — i rozlała ją na Pietranera, ażeby stała się śmiertelną trucizną. — I Pietranera będzie napiętnowaną — dopóki krew winnego — nie zatrze śladów krwi téj niewinnéj."

Skoro ukończyła mówić upadła na krzesło, spuściła na oczy mezaro i zaczęła głośno płakać. Kobiéty równie we łzach, otoczyły improwizatorkę, wielu mężczyzn rzucało dzikie spojrzenia na mera i jego synów, a niektórzy starcy szemrali na zgorszenie spowodowane ich obecnością. Lecz Orso przybliżył się do siostry, wziął ją za rękę i wyprowadził z izby, zmordowaną i niezdolną wymówić ani słowa.

Tego samego dnia jeszcze, wieczorem, udał się prefekt do domu Orsa i wręczył mu list od miss Nevil, którym donosiła mu, iż wraz z swoim ojcem przybędzie wkrótce do Pietranera i odwiédzi go w jego starożytnéj siedzibie Kaporalów. Lecz odwiedziny prefekta inny cel jeszcze miały; chciał on podczas swego pobytu w Pietranera pojednać

zupełnie panów della Rebbia i Barricini. Jakoż po zwykłych w takim razie oświadczeniach swéj dobréj chęci i usłużności, przystąpił wkrótce do rzeczy. Utrzymywał iż znając pana della Rebbia, wié iż on uznaje za błache i bezzasadne pewne podejrzenia, rozszerzane przez osoby nierozsądne, i że jeżeli ma jaki żal do pana Baricini, to tylko z powodu napisania listu grożącego imieniem jednego bandyty.

Lecz według zdania prefekta i ten zarzut ustać powinien, gdyż prawdziwy autor listu został wynaleziony; miał być nim jakiś Tomaso Bianchi uwięziony w Bastia, który sam wyznał tę zbrodnię. Zapytany prefekt przez Orsa, jaki powód mógłby miéć ten nikczemnik do takiego postępku, wyjaśnił że on był bratem młynarza, który dzierżawił na pół darmo od pułkownika della Rebbi młyn na strumieniu spornym stojący, i że chcąc przysłużyć się bratu, napisał ten list w zamiarze aby właścicielem młynu nie został pan Barricini, który będąc chciwym zysków nie zezwoliłby

na czynsz tak umiarkowany, i zakończył prośbą; aby Orso nie chciał dłużéj opierać się oczywistości i pojednał się z panem Barricini.

Orso rozważywszy rzecz całą, chciał się już przychylić do żądania prefekta, lecz Colomba zaklinała brata, aby wstrzymał się do dnia następnego i przyrzekała przekonać go, o nowym fałszu Barricinich.

Zniechęcony prefekt pożegnał się z panem della Rebbia oświadczając, iż nazajutrz ma zamiar opuścić Pietranera i dla tego spodziéwa się, że on zaraz rano odwiédziéć go zechce w domu pana Barricini.

XIII.

Nazajutrz rano, około szustéj godziny, zastukał do drzwi domu Orsa służący prefekta. Przyjęty przez Colombę oświadczył, iż pan prefekt wkrótce wyjeżdża i oczekuje na pana della Rebbia. Colomba odpowiedziała bez namysłu, że jéj brat upadł ze

schodów i zwichnął sobie nogę, że nie może ani na krok ruszyć się z domu, lecz że byłby bardzo wdzięczny panu prefektowi, gdyby raczył wstąpić do niego. Wkrótce potém zeszedł Orso i zapytał się swéj siostry czy prefekt po niego nie przysyłał.

— Prosi cię abyś tu oczekiwał na niego, rzekła jak najspokojniéj.

Przez pół godziny żadnego poruszenia nie widać było w domu Barricinich; Orso tymczasem zapytał się Colomby, czy nie zrobiła jakiego odkrycia; lecz ona odpowiedziała że dopiéro w obecności prefekta wytłumaczy się. Starała się okazywać zupełnie spokojną, lecz oczy jéj zdradzały wewnętrzne wzruszę-szenie.

Nareszcie drzwi domu Barricinich otworzyły się; wyszedł z nich prefekt, w podróżnym ubiorze, a za nim mer i dwaj jego synowie. Jakże zdziwili się mieszkańcy Pietranery, kiedy ujrzeli prefekta i trzech Barricinich zmierzających wprost do domu Orsa della Rebbia.

» Wchodzą w ugodę” mówili politycy wioski.

— Ja to mówiłem, rzekł inny stary człowiek. Ors’ Anton’ za długo żył na stałym lądzie, żeby miał działać jak na korsykana przystoi.

— Uważajcie przecież, odpowiedział jakiś Rebbianista, że rodzina Barricinich idzie do niego. Proszą o łaskę.

Prefekt zdziwił się nadzwyczajnie, kiedy ujrzał Orsa chodzącego; lecz Colomba sama przyznała się do kłamstwa i prosiła o przebaczenie: — Gdyby pan prefekt stanął w innym domu, dodała, mój brat wczoraj jeszcze złożyłby mu swoje uszanowanie.

Orso uniewinniał się i przysięgał, że nie wiedział wcale o tym śmiésznym wybiegu, który mu wiele sprawia przykrości. Prefekt i stary Barricini, zdaje się, iż uważali żal jego za prawdziwy, zwłaszcza że mocno okazywał się zmięszanym i swéj siostrze wyrzuty czynił; lecz dwaj synowie mera jawnie okazywali swoje nieukontentowanie.

» Żartują z nas " rzekł Orlanduccio tak głośno, że go wszyscy słyszéć mogli.

— Gdyby mi moja siostra taki żart zrobiła, mruknął Vincentello, dałbym jéj dobrą naukę.

Słowa te i ton mówienia nie podobały się Orsowi i osłabiły niejako jego chęć dobrą. On i dwaj synowie mera, rzucili na siebie wzajemnie spojrzenia, w których nie malowała się wcale życzliwość.

Wszyscy jednak usiedli, wyjąwszy tylko Colomby, która stała przy drzwiach do kuchni wiodących. Prefekt naprzód zaczął mówić, i po kilku oklepanych zdaniach o panujących w kraju przesądach, oświadczył iż przyczyną wszystkich nieprzyjaźni familijnych, nawet najbardziéj zadawnionych, po większéj części jest tylko nieporozumienie się. Potém zwróciwszy się do mera rzekł, iż pan della Rebbia nigdy nie utrzymywał, aby rodzina Barricinich miała kiedykolwiek udział pośredni lub bezpośredni

w smutném wydarzeniu, które spowodowało śmierć jego ojca; że rzeczywiście, ma on tylko niejaką wątpliwość, względem niektórych szczegółów procesu toczącego się między dwiema rodzinami, która to wątpliwość da się łatwo wytłumaczyć, z powodu tak długiéj nieobecności pana Orso i niedokładnych wiadomości, jakie odbiérał: że objaśniony teraz zupełnie przez świéże odkrycia, pragnie zawrzéć stosunki przyjaźni i dobrego sąsiedztwa z panem Barricinim i jego rodziną.

Orso ukłonił się z przymusem; pan Barricini wyjąknął kilka słów, które nikt nie zrozumiał, a synowie jego wpatrywali się w belki sufitu. Prefekt chciał już w dalszym ciągu swéj przemowy, wyrzec drugą część dla Orsa, odpowiednią téj, jaką powiedział dla pana Barricini, gdy Colomba wyjmując z pod chustki kilka papiérów, wystąpiła na środek pomiędzy strony układające się:

— Wielką to mi sprawi przyjemność, rzekła, kiedy zakończą się nieprzyjazne stosunki

naszych dwóch rodzin; lecz aby pojednanie było szczére, trzeba wszystko wyjaśnić i nic w wątpliwości nie zostawić.

— Panie prefekcie, oświadczenie Tomasa Bianchi słusznie miałam w podejrzeniu, jako pochodzące od człowieka niedobrą sławę mającego. — Powiedziałam że może synowie pana Barricini widzieli się z tym człowiekiem w więzieniu w Bastia...

— To fałsz, przerwał Orlanduccio, ja go wcale nie widziałem.

Colomba rzuciła na niego wzrok pełen wzgardy i mówiła daléj z wielką na pozór spokojnością.

— Utrzymywałeś pan, że Tomaso Bianchi zagroził panu Barricini imieniem słynnego bandyty, powodowany chęcią przysłużenia się swemu bratu Teodorowi, który trzymał młyn od mojego ojca za nizką cenę.

— To jest widoczném, rzekł prefekt.

— Ze strony takiego nikczemnika, jakim zdaje się być ten Bianchi, wszystko da się

wytłumaczyć, rzekł Orso złudzony pozorną spokojnością swojéj siostry.

— List sfałszowany, mówiła daléj Colomba, któréj oczy zajaśniały żywym blaskiem, datowany jest 1 lipca. Tomaso był natenczas u swojego brata, we młynie.

— Tak jest, rzekł mer cokolwiek niespokojny.

— Jakiż więc interes mógłby mieć Tomaso Bianchi, z wołała Colomba tonem tryumfującym, kiedy dzierżawa jego brata już się ukończyła? mój ojciec odprawił go dnia 1 Lipca. Oto są rejestra mojego ojca i list kommissanta z Ajacio, który nam stręczył nowego młynarza.

Mówiąc to oddała prefektowi papiéry, które w ręku trzymała.

Przez chwilę powszechne było zadziwienie. Mer zbladł widocznie; Orso zmarszczywszy brwi przybliżył się, dla obejrzenia papiérów, które prefekt czytał z wielką uwagą.

— Żartują z nas! Zawołał znowu Orlanducio podnosząc się z gniewem. Idźmy ztąd, mój ojcze; nie powinniśmy byli tu wcale przychodzić!

Chwila jedna wystarczyła dla pana Barricini aby nabrał swéj zwykłéj krwi zimnéj. Żądał aby mu pokazano papiéry; prefekt oddał mu je nie mówiąc ani słowa. Natenczas podniosłszy swoje zielone okulary na czoło, zaczął je czytać z miną obojętną, gdy tymczasem Colomba wpatrywała się w niego, oczami tygrysicy, która widzi daniela zbliżającego się do jaskini swoich dzieci.

—Lecz...rzekł pan Barricini spuszczającokulary i oddając papiéry prefektowi, Tomaso znając dobroć zmarłego pana pułkownika.... mógł sądzić..... powinien sądzić... że pan pułkownik powróci go do dzierżawy... Jakoż w istocie, pozostał przy posiadaniu młyna.. a więc...

— To ja utrzymałam go, rzekła Colomba tonem pogardy. Mój ojciec umarł, powinnam była w położeniu mojém oszczędzać stronników méj rodziny.

— Jednakowoż, odezwał się prefekt, ten Tomaso przyznał się iż napisał ów list... to jest jasném.

— To tylko jest jasném dla mnie, przerwał Orso, że w całéj téj sprawie kryje się jakaś nikczemna podłość.

— Jedno jeszcze twierdzenie tych panów okaże się fałszywém, rzekła Colomba. — Otworzyła drzwi od kuchni, i natychmiast wszedł do sali Brandolaccio, licencjant teologji i pies Brusco. Dwaj bandyci byli bez broni, przynajmniéj na pozór i wszedłszy, zdjęli z uszanowaniem swoje czapki.

Można wyobrazić sobie, jaki skutek sprawiło nagłe ich okazanie się. Mer o mało nie upadł na wznak; synowie jego zasłonili go śmiało swemi piersiami, sięgając do kieszeni po sztylety. Prefekt zrobił poruszenie ku drzwiom, gdy tymczasem Orso pochwy-

ciwszy za kołniérz Brandolaccia, zawołał: Czego tu chcesz, nędzniku?

— To jest zasadzka, zawołał mer usiłując drzwi otworzyć; lecz kucharka zamknęła je na klucz, stosownie do rozkazu bandytów, jak się późniéj dowiedziano.

— Dobrzy ludzie! rzekł Brandolaccio, nie obawiajcie się; nie taki djabół czarny jak go malują. My nie mamy wcale złych zamiarów. — Najniższy sługa pana prefekta, — lecz poruczniku, nie sciskaj tak, proszę, bo mnie udusisz. — Przychodziemy tu jako świadkowie. No, mów, doktorze, ty masz język lepiéj wyćwiczony.

— Panie prefekcie, rzekł drugi bandyta, nie mam zaszczytu być znanym przez pana prefekta. Zowię się Giocanto Castriconi, lecz bardziéj znany jestem po imieniem doktora....ta panna, któréj nie miałem honoru znać także, kazała mnie prosić abym udzielił wiadomości, jakie posiadam względem pewnego Tomaso Bianchi, z którym przez trzy

tygodnie siedziałem w więzieniu, w Bastia. Otóż co mam powiedzieć...

— Nie trudź się darmo, rzekł prefekt, ja nic słuchać nie mogę z ust człowieka, takiego jak ty... Panie della Rebbia, chcę wierzyć że nie wpływałeś do tego nikczemnego spisku. Lecz jeżeli jesteś panem w swoim domu, każ otworzyć drzwi natychmiast. Siostra pańska będzie może musiała zdać sprawę ze stosunków, jakie utrzymuje z bandytami.

—Panie prefekcie, zawołała Colomba, racz wysłuchać tego człowieka. Pańskim obowiązkiem jest wymierzyć sprawiedliwość i wykryć prawdę. Mów, Giocanto Castriconi.

— Nie słuchaj go pan, zawołało chórem trzech Barricinich.

— Jeżeli wszyscy razem będziemy mówili, rzekł bandyta uśmiéchając się, to niepodobna będzie zrozumiéć się. Otóż, w więzieniu miałem za towarzysza, ale nie za przyjaciela, tego Tomaso, o którym mowa. On przyjmował często odwiedziny pana Orlanducio.

— To fałsz, zawołali razem dwaj bracia.

— Dwa przeczenia czynią twierdzenie, rzekł zimno Castriconi. Tomaso miał piéniądze, jadł i pił dobrze. Ja zawsze lubiłem dobry stół, — to jest moja najmniejsza wada, i pomimo wstrętu mojego do tego łotra, nie raz z nim jadłem obiad. Przez wdzięczność, przyrzekłem mu dopomódz do ucieczki... Jedna dziewczynka miała mi podać sposobność..nie będę jednak narażał nikogo... Lecz Tomaso odmówił i rzekł że jest pewny o swoję sprawę, gdyż adwokat Barricini polecił go wszystkim sędziom, i że wyjdzie z niéj biały jak śnieg i z piéniędzmi w kieszeni. Co do mnie, osądziłem że najlepiéj będzie wyjść na świéże powietrze. Dixi.

— To, co ten człowiek powiedział, to są same kłamstwa, rzekł śmiało Orlanducio. Gdybyśmy byli na czystém polu, z fuzjami w ręku, nie mówiłby w ten sposób.

— Otóż znowu głupstwo! zawołał Brandolaccio. Nie wszczynaj kłutni z doktorem, Orlanduccio.

— Czy pan każesz nareszcie drzwi otworzyć, panie della Rebbia? zapytał prefekt, uderzając nogą z niecierpliwości.

— Saverja! otwórz drzwi, zawołał Orso.

— Tylko jeszcze chwilę, odezwał się Brandolacio, musiemy piérwéj wyciągnąć drugą stroną. Jest zwyczaj, panie prefekcie, iż kiedy odbywa się schadzka u wspólnych przyjaciół, po wyjściu, przez pół godziny trwa zawieszenie broni.

Prefekt spojrzał na niego z pogardą.

— Najniższy sługa pański, mówił daléj Brandolacio. Potém wyciągnął rękę poziomo i zawołał do swojego psa: No, Brusco, skocz dla pana prefekta.

Pies skoczył, bandyci wzięli śpiesznie za broń w kuchni pozostawioną i umknęli przez ogród, a drzwi, po przeraźliwém gwiznięciu, otworzyły się, jakby przez czary.

— Panie Barricini, rzekł Orso powściągając gniew swój, uważam pana za fałszerza. Dzisiaj jeszcze zaniosę skargę do królewskiego prokuratora przeciwko panu, o fałsz i zmowę z Tomasem Bianchi. Może nawet gorszą jeszcze skargę uczynię.

— A ja, panie della Rebbia, rzekł mer, oskarżę pana o gwałt i porozumienie się z bandytami. Pan prefekt powinienby pana zaraz oddać żandarmom.

— Prefekt wypełni swój obowiązek, rzekł tenże surowo, będzie starał się ażeby spokojność w Pietranera nie została naruszoną, i żeby każdy otrzymał to, na co zasłużył. Mówię to do was wszystkich, moi panowie.

Mer i Vincentello wyszli już byli z pokoju, i Orlanducio zabierał się także, gdy Orso rzekł do niego po cichu:—Twój ojciec jest starzec, którego jednym policzkiem powaliłbym na ziemię. Przeznaczam go więc dla ciebie i dla twego brata.

Zamiast odpowiedzi, Orlanducio wydobył sztylet i rzucił się jak szalony na Orsa; nim

jednak mógł zrobić użytek z téj broni, pochwyciła go za rękę Colomba i trzymała silnie, gdy tymczasem Orso pięścią bił go po twarzy. Sztylet wypadł z ręki Orlanducia, lecz Vincentello miał swój przy sobie i powrócił do pokoju;Colomba zaś pochwyciła za strzelbę stojącą przy ścianie. W tym samym czasie stanął i prefekt pomiędzy walczącemi.

—Wkrótce odpłacę ci się, Ors' Anton' zawołał Orlanducio uciekając.

Orso i Prefekt pozostali razem przez pół kwadransa, nie mówiąc do siebie ani słowa.

— Co za kraj! co za kraj! zawołał wkońcu prefekt nagle powstając. Panie della Rebbia, pan nie miałeś słuszności. Żądam od pana przyrzeczenia i słowa honoru, że wstrzymasz się od wszelkiego gwałtownego kroku, dopóki sąd téj przeklętéj sprawy nie roztrzygnie.

— Tak jest, panie prefekcie, nie miałem słuszności, kiedym wybił tego

nędznika, lecz już go wybiłem, i nie mogę odmówić mu zadość uczynienia, którego będzie żądał.

— Ach nie, on nie będzie się chciał strzelać z panem! Lecz gdyby pana zamordował..... uczyniłeś pan wszystko, co potrzeba aby go spowodować do tego.

— Będziemy się mieli na ostrożności, rzekła Colomba.

— Orlanduccio zdaje się być człowiekiem odważnym, rzekł Orso i lepiéj trzymam o nim, panie prefekcie. Wyciągnął wprawdzie zanadto spiesznie swój sztylet, lecz ja bym to samo uczynił na jego miejscu, i za szczęśliwego mogę się uważać, że moja siostra ma tak silną rękę.

— Nie będziesz się pan strzelał, zawołał prefekt; zakazuję panu.

— Pozwól pan zrobić sobie tę uwagę, że w sprawie honorowéj nie uznaję innego sędziego, jak moje sumienie.

— Powiadam panu, nie strzelaj się.

— Możesz mnie pan kazać uwięzić, jeżeli tylko dam się schwytać. Lecz jeżeli tak się stanie, walka, która jest konieczną, zostanie tylko odwleczoną. Jesteś pan człowiekiem honoru, panie prefekcie, i wiész dobre że inaczéj działać nie mogę.

— Jeżeli pan każesz mego brata uwięzić, dodała Colomba, połowa wioski stanie w jego obronie.

— Uprzedzam pana, rzekł Orso, iż gdyby pan Barricini nadużył swéj władzy jako mer i chciał mnie kazać uwięzić, to będę się bronił.

— Pan Barricini od dnia dzisiejszego zostaje zawieszony w urzędowaniu, rzekł prefekt, on się usprawiedliwi, spodziéwam się..... Widzisz pan iż sprawa pańska mnie obchodzi. Żądam tylko małéj rzeczy, abyś pan pozostał spokojny do mojego powrotu z Corte.

— Nie mogę przyrzec panu, gdyż Orlanduccio, jak sądzę, będzie żądał pojedynku: zobowiązuję się tylko nie dawać mu drugiego policzka, dla zachęcenia go do walki.

— Co za kraj! powtórzył prefekt przechodząc się wielkiemi krokami; kiedyż powrócę do Francji?!

— Panie prefekcie, rzekła Colomba słodkim głosem, już późno; nie uczynisz pan nam tego zaszczytu, abyś zjadł z nami śniadanie?

Prefekt nie mógł wstrzymać się od śmiéchu: — I tak tutaj zanadto długo zostaję, mogliby mnie uważać za stronnego... muszę odejść..... Ach! panno della Rebbia, ileż to nieszczęść spowodowałaś może w dniu dzisiejszym!

Skoro prefekt wyszedł, Colomba rzekła do brata:

— Orso, ty nie jesteś na stałym lądzie; Orlanduccio nie myśli wcale o pojedyn-

ku, a nadto, ten nikczemnik nie zasłużył na to, aby zginął śmiercią walecznego.

— Moja kochana Colombo, ty jesteś kobiétą z mocnym charakterem. Winienem ci wdzięczność iż odwróciłaś ode mnie nóż Orlanduccia. Podaj mi twoję małą rękę, niech ją ucałuję; — jednak, pozwól mi działać. Są rzeczy, których ty wcale nie rozumiész. Daj mi śniadanie i każ przyjść Chilinie, poszlę ją z listem.

Kiedy Colomba przyrządzała śniadanie, Orso wszedł na górę do swego pokoju i napisał bilet następujący:

»Pragniesz pan zapewne jak najprędzéj spotkać się ze mną, i ja również. Jutro więc rano, o godzinie 6, możemy zejść się w dolinie Acquaviva. Jestem bardzo zręczny w strzelaniu z pistoletu, dla tego nie użyjemy téj broni; lecz powiadają że pan strzelasz dobrze z fuzji; niech więc ka

żdy z nas weźmie z sobą dubeltówkę. Ja przybędę w towarzystwie jednego człowieka ze wsi. Jeżeli panu będzie brat towarzyszył, weź pan drugiego świadka i chciéj mnie o tém zawiadomić. W tym tylko przypadku będę miał z sobą także dwóch świadków."

» Orso Antonio della Rebbia"

Prefekt wstąpiwszy na kilka minut do Barricinich, odjechał do Corte, w towarzystwie jednego tylko żandarma.

W kwadrans późniéj, zaniosła Chilina list powyższy i oddała go do rąk własnych Orlanduccia.

Odpowiédź nadeszła dopiéro wieczorem. Podpisana była przez Barriciniego, ojca, który oświadczył Orsowi, iż złoży u prokuratora królewskiego list grożący, adresowany do syna.

Tymczasem pięciu lub sześciu pasterzy przybyło na wezwanie Colomby, dla utworzenia załogi domu della Rebiów, i pomimo przełożeń Orsa, zabarykadowano okna wychodzące na plac.

XIV.

Następny dzień przeszedł spokojnie. Z obu stron trzymano się tylko odpornie.

Orso nie wychodził z domu, drzwi Barricinich ciągle były zamknięte, a pięciu żandarmów zostawionych na garnizonie, przechodziło się po placu Pietranera i po oko-

licach. — Adjunkt nie opuszczał także swéj szarfy; jednak, gdyby tylko nie obwarowanie okien w domach nieprzyjacielskich, nic by nie objawiało wojny. Rodowity tylko korsykanin dostrzegłby, że na placu około zielonego dębu nie widziano nikogo, oprócz kobiét.

Podczas wieczerzy, Colomba z radośną miną pokazała bratu następujący list, który otrzymała od miss Nevil:

» Moja kochana panno Colombo, dowiaduję się z ukontentowaniem z listu twego brata, że wasze niesnaski ukończone już zostały. — Przyjm moje życzenia z tego powodu. Mój ojciec nie może znieść dłużéj pobytu w Ajaccjo, odkąd twój brat nie mówi z nim o bitwach i polowaniu. Wyjedziemy dzisiaj; będziemy nocować u twojego krewnego, do którego mamy list od brata, a pojutrze, około 8éj godziny, przybędę do was skosztować tego bruci o*)

*) Gatunek séra wyrabianego na Korsyce.

tak dalece, jak mówisz, lepszego od miejskich."

» Do widzenia, kochana panno Colombo, twoja przyjaciołka.

Lidja Nevil.

— Ona więc nie odebrała mego drugiego listu? zawołał Orso.

— Widzisz z daty jéj listu, że już była w drodze, gdy twój list przybył do Ajaccio..

— Ty więc pisałeś do niéj, żeby nie przyjeżdżali?

— Napisałem że jesteśmy w stanie oblężenia. A jak mi się zdaję, nie jest to chwila do przyjmowania gości.

— Ach! Ci Anglicy są ludzie szczególni. Gdy przepędziłam ostatnią noc w jéj pokoju, mówiła mi że gniewałaby się, gdyby opuściła Korsykę nie widząc jakiéj ładnéj ven

d e t t a y. Jeżeli chcesz, Orso, możnaby jéj dać widowisko i napaść na dom naszych nieprzyjaciół?

— Sądzę, że natura omyliła się stwarzając cię kobiétą, moja Colombo? Byłabyś wybornym żołnierzem.

— Być może. W każdym przypadku pójdę robić b r u c c i o.

— Nie potrzeba. Wypada posłać kogo z doniesieniem, że nie możemy ich przyjąć teraz.

— Lecz jakże chcesz wyprawiać posłańca na taki czas; potok by go porwał wraz z listem. — Jakże żałuję bandytów, iż muszą wystawieni być na taką burzę. Szczęściem, oni mają dobre płaszcze. Czy wiész, co potrzeba zrobić, Orso? Jeżeli burza ustanie jutro ze świtem ssm' pojedziesz do naszego krewnego, gdzie ich niezawodnie jeszcze zastaniesz, gdyż miss Lidja późno zawsze wstaje. Powiész im, co u nas zaszło, jeżeli zechcą przyjechać, przyjmiemy ich z wielkiém ukontentowaniem.

Orso w ten moment przystał na taki projekt, a Colomba, po kilku chwilach milczenia rzekła:

— Może sądzisz że żartowałam, Orso, mówiąc i o napadzie na dom Barricinich? Bynajmniéj—Czy wiesz że jesteśmy silniejsi daleko od naszych nieprzyjaciół. Jak tylko prefekt zawiesił mera, wszyscy są za nami. Możemy ich pozarzynać, a o zaczepkę bardzo łatwo. Jeżeli chcesz, pójdę do fontanny i będę śmiać się z ich kobiét; Oni wyjdą... a być może... gdyż są tchurze, że będą tylko z okien do mnie strzelać; nie dosięgną. — A wtedy już po wszystkiém. Oni byliby zaczepiający. Tém gorzéj dla zwyciężonych. Gdzie szukać tego, który w takim tumulcie zada raz skuteczny? Wirsz twéj siostrze, Orso. Czarne suknie przybędą zabazgrać wiele papiéru, powiedzą dużo słów niepotrzebnych, i nic ztąd nie wyniknie. Stary lis znajdzie środki do przekonania ich, że widzą gwiazdy wśród południa. — Ach!

gdyby prefekt nie zasłonił Vincentella, przynajmniéj jeden byłby mniéj.

Wszystko to powiedziała z tak zimną krwią, jak gdyby mówiła o przyrządzeniu brucçio.

Orso, spoglądał na swoję siostrę z podziwieniem i obawą zarazem.

— Droga Colombo, rzekł podnosząc się od stołu, jesteś żołnierzem w spudnicy, ale bądź spokojna. Jeżeli nie sprawię tego, że Barricini będą wisiéć, znajdę inne środki, które doprowadzą mnie do celu. Kula gorąca, albo żelazo zimne! Widzisz że nie zapomniałem Korsyki.

— Wcześniéj byłoby lepiéj, rzekła Colomba, wzdychając. Na którym koniu pojedziesz jutro, Ors' Anton'?

— Na karym. Dla czego pytasz się mnie o to?

— Dam mu obroku.

Orso poszedł do swego pokoju, Colomba zaś wysławszy na spoczynek Saverię i pasterzy, sama została w kuchni, gdzie zajęła

się przyrządzeniem brucccia. Gdy sądziła że jéj brat już usnąć musiał, wzięła nóż, przekonała się czy ostry, włożyła swoje małe nóżki w ogromne trzewiki, i bez najmniejszego hałasu wyszła do ogrodu.

Obok ogrodu otoczonego murem, znajdowało się podwórze dać obszerne, ogrodzone płotem, w którém zamykano konie; gdyż korsykańskie konie nie znają wcale stajni. Colomba otworzyła drzwi ogrodu z ostróżnością, weszła potém na podwórze, i gwiżdżąc po cichu, zwabiła do siebie konie, którym często chléb i sól przynosiła. Gdy koń kary zbliżył się do niéj, schwyciła go silnie za grzywę i przecięła mu nożem ucho. Koń rzucił się na bok i uciekł wydawszy krzyk przeraźliwy, co się zdarza niekiedy zwierzętom tego rodzaju, gdy mocną boleść uczują. Colomba zamknąwszy za sobą drzwi od podwórza i ogrodu z wielką ostróżnością, przemknęła się pod murem domu, i weszła niepostrzeżona do kuchni.

Nazajutrz, równo ze świtem, Orso wstał i zaczął wybiérać się do drogi. Ubiór jego okazywał zarazem troskliwość o elegancją mężczyzny mającego przedstawić się kobiécie, któréj chce się podobać, i przezorność korsykanina mającego vendettę. Na surducie obcisłym zawiesił małe pudełko blaszane z ładunkami, na zielonym sznurku; sztylet umieszczony był w boczuéj kieszeni, a w ręku trzymał piękną fuzją, podarowaną przez pułkownika. Kiedy pił z pośpiechem kawę, którą mu Colomba nalała, jeden z pasterzy poszedł osiodłać konia dla niego. Orso i siostra poszli za nim także wkrótce i weszli na podwórze. Pasterz pochwycił konia, lecz upuścił zaraz siodło i uzdę z wielkiém przerażeniem, gdy tymczasem koń, który pamiętał skaleczenie nocy poprzedniéj i obawiał się o swoje drugie ucho, zaczął wspinać się, ciskać, rżyć i wierzgać.

— No, spiesz się zawołał Orso.

— Ach! Ors' Anton'! Ach! Ors' Anton'! zawołał pasterz, na krew Madouy! i t. d. Na-

stąpiły złorzeczenia bez końca, których większą część niepodobna byłoby wytłumaczyć.

— Co takiego? zapytała Colomba.

Wszyscy zbliżyli się do konia, widząc ucho jego skrwawione i rozcięte i wydali okrzyk podziwienia i gniewu. Wiedzićć należy, że okaleczyć konia nieprzyjacielowi, oznacza dla korsykanina zarazem zemstę, wyzwanie, i groźbę śmierci. Chociaż Orso, który żył tak długo na stałym lądzie, nie uczuł w całéj rozciągłości téj zniewagi, jednak, gdyby w téj chwili jaki barricinista pokazał mu się na oczy, może być, że zemściłby się na nim za wyrządzoną zniewagę. — Nikczemniki! zawołał, mszczą się nad biédném zwierzęciem, a nie śmią spojrzéć mi w oczy!

— Zemsta! zawołali pasterze, oprowadźmy konia po wsi i napadnijmy na ich dom.

— Obok ich wieży jest stodoła pokryta słomą, rzekł Polo Griffo, jednym zamachem ręki możnaby ją podpalić.

Drugi radził aby iść po drabinę do kościoła, trzeci aby wysadzić drzwi domu Baricinich za pomocą prochu, a pośród tych groźnych głosów, słychać było ciągle Colombę, która zapraszała swoich stronników, ażeby przed zaczęciem dzieła wypili po szklance wódki.

Na nieszczęście, albo raczéj na szczęście, okrucieństwo jéj z biédném zwierzęciem nie odniosło pożądanego przez nią skutku; albowiem Orso rozważywszy tę nikczemną i śmieszną zemstę, powziął tylko jeszcze większą wzgardę dla swoich przeciwników i osądził, równie jak prefekt, że ci ludzie niegodni są z nim walczyć. Skoro tylko mógł uciszyć cokolwiek swoich stronników, tchnących zapałem wojennym, zawołał tonem surowym:

— Jestem tu panem, i żądam posłuszeństwa. Piérwszy, który wspomni o zabójstwie lub podpalaniu, sam piérwéj ulegnie takiemu losowi.—Niech mi osiodłają natychmiast siwego konia.

— W kilka minut późniéj odjechał, powtórzywszy jeszcze raz swoje polecenia siostrze i zgromadzonym pastérzom, aby zachowali się spokojnie przez czas jego nieobecności.

XV.

Orso opuściwszy Pietranera jechał śpiesznie, bardziéj zajęty tą przyjemną myślą, iż wkrótce oglądać będzie miss Nevil, niżeli obawą spotkania swych nieprzyjaciół.

— Proces, który mam rozpocząć z temi nędznikami Barriciniemi, zniewoli mię abym

udał się do Bastia, mówił do siebie. Dla czegóż nie miałbym towarzyszyć miss Nevil, Dla czegóż z Bastia nie mamy się udać razem nad wody Orezza? Nagle, wspomnienia dziecinnego wieku przedstawiły jego wyobraźni w czystém świetle tę malowniczą okolicę. Zdawało mu się, iż przeniesiony został na zieloną darń, u stóp kasztanów stoletnich. Na trawniku, widział obok siebie siedzącą miss Lidję; ona zdjęła kapelusz, a jasne włosy jéj, delikatniejsze od jedwabiu błyszczały jak złoto, odbijając promienie światła przedzierające się przez gęstwinę liści. Oczy jéj niebieskie zdawały mu się bardziéj błękitne i czyste niż firmament nieba. Wsparłszy głowę na ręku, słuchała z zamyśleniem słów miłości, które on ze drżeniem wymawiał. Miała na sobie tę samę suknią muślinową, co i w dniu odjazdu jego z Ajaccio; z pod fałdów téj sukni wymykała się maleńka nóżka w czarnym atłasowym trzewiku. Orso mówił sobie, iż byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł pocałować tę nóżkę; lecz

na jednéj ręce miss Lidji nie było rękawiczki; trzymała w niéj stokrotkę. Orso wziął z jéj ręki stokrotkę, a ręka miss Lidji ścisnęła lekko dłoń jego,—i pocałował stokrotkę, —a potém rękę,—i nie gniéwano się..Myśli takie nie pozwalały mu zwracać uwagi na drogę, jednakże jechał ciągle truchtem. Już miał drugi raz pocałować w swéj wyobraźni białą rączkę miss Nevil, a w rzeczywistości głowę konia swojego, gdy nagle Chilina zastąpiła mu drogę.

— Dokąd to pan tak jedziesz, Ors' Anton'? rzekła. Czy pan nie wiész że twój nieprzyjaciel jest ztąd niedaleko?

— Mój nieprzyjaciel! zawołał Orso nieukontentowany że mu przerwano marzenia jego w tak zajmującéj chwili. Gdzie on jest?

— Orlanduccio jest blisko. Oczekuje na pana. Wróć się pan, wróć!

— Ach! on oczekuje na mnie? Ty go widziałaś?

— Tak jest, Ors' Anton', ukryta byłam za krzakiem, kiedy przechodził. Spoglądał na wszystkie strony przez swą lunetę.

— Dziękuję, dziękuję.

— Ja sądzę żebyś pan poczekał na mojego stryja; on przyjdzie nie długo, a z nim będziesz pewniejszym.

— Nie obawiaj się Chilino, nie potrzebuję twojego stryja.

— Jeżeli pan chcesz, będę szła naprzód?

— Nie ma potrzeby, Chilino, dziękuję ci.

Orso spiął konia ostrogami i ruszył naglo w stronę wskazaną przez małą dziewczynkę.

Z początku gwałtowne uniesienie gniewu wzburzyło krew jego i mówił sobie, że los podawał mu wyborną sposobność do ukarania tego nikczemnika, który skaleczył konia, aby się zemścić za odebrany policzek. Potém, pewien rodzaj obietnicy danéj prefektowi, a nadewszystko obawa utracenia od-

widzin miss Nevil,zmieniły jego chęci, i pragnął niemal ażeby nie spotkał już Orlanducia. Lecz wkrótce wspomnienie ojca, zniewaga uczyniona koniowi, groźby jego nieprzyjaciół zapaliły znowu gniew jego i podbudzały go do szukania wroga i zniewolenia go do walki.

A tak, miotany sprzecznemi żądzami, postępował ciągle naprzód, jednak z ostróżnością, śledząc bacznie krzaki i zarośla i zatrzymując się niekiedy dla przekonania się, czy go szelest jaki nie dochodzi. W dziesięć minut po opuszczeniu małéj Chiliny, stanął na wysokości nadzwyczaj stromego pagórka. Droga albo raczéj ścieszka, którą jechał, przerzynała zarośle świeżo wypalone; ziemia w tém miejscu pokryta była białym popiołem; gdzie niegdzie tylko pojedyńcze krzaki i grube drzewa poczerniałe od ognia i ogołocone z liści sterczały samotnie, chociaż dawno już żyć przestały. Lecz Orso w téj chwili zwracał swoję uwagę tylko na jednę rzecz, wprawdzie bardzo ważną

w jego położeniu: ponieważ pole było niezarosłe, nie mogło więc kryć w sobie zasadzki, a ten, kto co chwila obawia się ujrzéć z gęstwiny lufę karabinową zmierzoną do swoich piersi, uważa za pewien rodzaj o a z i s, przestrzeń otwartą, gdzie nic nie tamuje wzroku. Za wypaloném zaroślem rozciągały się pola uprawne, obwiedzione murem kamiennym na półtora łokcia wysokim, stosownie do zwyczaju krajowego.

Orso przymuszony zsiąść z konia zpowodu wielkiéj spadzistości pagórka, schodził śpiesznie, slizgając się po popiele, i znajdował się już o 25 kroków prawie od kamiennego muru po prawéj stronie drogi, gdy ujrzał nagle, zupełnie na prost siebie, naprzód lufę karabinową, a potém głowę wyglądającą z poza muru ; karabin zniżył się, a on poznał Orlanduccia gotowego do wystrzału. Przygotował się więc szybko do obrony, i obadwa wziąwszy na cel, spoglądali na siebie przez kilku sekund z tém przykrém wzruszeniem, jakiego doświadcza najśmielszy

nawet, w chwili zadania lub odebrania śmierci.

Nędzniku! zawołał Orso..... Mówił jeszcze gdy ujrzał błyśnięcie fuzji Orlanduccia i w téj saméj chwili prawie nastąpił drugi strzał z lewéj strony scieszki, pochodzący od człowieka ukrytego za murem. Obie kule ugodziły w Orsa; jedna, to jest wystrzelona przez Orlanducia, przeszyła mu lewe ramie, które nadstawił biorąc na cel przeciwnika, druga ugodziła go w piersi, lecz szczęśliwym wypadkiem, spłaszczywszy się o ostrze sztyletu, lekkie tylko zadraśnięcie zrządziła. Lewa ręka Orsa upadła bezsilna, i strzelba pochyliła się na chwilę; lecz podniósł ją na tychmiast, wymierzył z saméj tylko prawéj ręki i dał ognia do Orlanduccia. Twarz nieprzyjaciela, którego oczy zaledwie mógł widzieć, zniknęła za murem. Potém zwróciwszy się na lewą stronę wystrzelił z drugiéj lufy do człowieka otoczonego dymem, którego niewyraźnie tylko mógł dostrzedz. I ta twarz zniknęła także za murem. Cztery te strzały

nastąpiły po sobie z szybkością nadzwyczajną, i po ostatnim, Orsa, wszystko umilkło. Dym wstępował zwolna w górę, a za murami nie znać było żadnego poruszenia, nawet najmniejszego szelestu. Gdyby nie boleść ręki, Orso mógłby sądzić, że ludzie, do których dopiéro co wystrzelił, byli widziadłami tylko jego wyobraźni.

Gotując się do drugiego wystrzału, Orso postąpił kilka kroków i oparłszy się o drzewo opalone, zaczął nabijać strzelbę z pośpiechem. Lecz cóż się stało z jego przeciwnikami?—tego nie mógł pojąć: gdyby uciekli, albo zostali ranni, byłby słyszał jakiś szelest, poruszenie liści.—Miałżeby ich zabić? Czyli też ukryci za murem mieli zamiar drugi raz wystrzelić do niego? Dręczony niespokojnością i czując swe siły ubywające, wsparł zranioną rękę na prawém kolanie, suchą gałęź wyrastającą z pnia, o który się opierał, użył za podporę do strzelby, i w takiéj posta-

wie, z oczami wlepionemi w mur, z uchem bacznėm na najmniejszy szelest, oczekiwał przez kilka minut, które zdawały mu się być wiekiem. Nareszcie usłyszał poza sobą krzyk oddalony, i wkrótce pies zbiegł z pagórka jak strzała i zatrzymał się przed nim kręcąc ogonem; był to Brusco uczeń i towarzysz bandytów, oznajmujący bezwątpienia przybycie swego pana. Jakoż nie długo pokazał się bandyta na szczycie wzgórza.

— Do mnie! Brandolaccio, zawołał Orso.

— Ach! mój porucznik raniony?! krzyknął bandyta przybiegając zdyszany. Czy rana ciężka?

— W rękę.

— W rękę! to nic nie znaczy; a przeciwnik?

— Sądzę żem go trafił.

Brandolaccio idąc za psem swoim przybliżył się do najbliższego muru i zajrzał na drugą stronę. Potém zdjąwszy czapkę

rzekł poważnie. — Witam panie Orlanduccio.

— Czy on żyje jeszcze? zapytał Orso zaledwie oddychając.

— Ale gdzieżtam! zanadto wiele zmartwienia robiła mu kula, którą pan mu wsadziłeś w oko. Ale na honor, co za strzelba! Muzg zupełnie pogruchotany! Lecz powiedzno mi pan, co to znaczy; napród usłyszałem paf! paf powiedziałem sobie zaraz: Sacrebleu! poczęstowano mego porucznika. Potém słyszę: Bum! bum! Oho! rzekłem, to fuzja angielska odpowiada..., Lecz, co ty chcesz ode mnie, Brusco?

Pies zaprowadził go do drugiego muru: — Daruj poruczniku! Krzyknął Brandolaccio zdziwiony; dwa strzały! nic więcéj! Do pioruna! widać że proch drogi, gdyż go pan oszczędzasz.

— Na Boga! co takiego? zapytał Orso.

— No, nie żartuj mój poruczniku! Pokładasz zwierzynę i chcesz żeby ci ją zbie-

rano.... Lecz adwokat Barricini piękny deser będzie miał dnia dzisiejszego! Ciekaw jestem kto téż teraz weźmie dziedzictwo?

— Jakto? Vincentello! zabity także?

— Oho! już po nim!... Lecz za to lubię porucznika, że nie daje długo się męczyć. Pójdźno pan, zobacz Vincentella, klęczy głowę wsparłszy na murze, jakby spał. Nieborak!

Orso odwrócił głowę z przerażeniem.

— Założyłbym się że kula w samo serce ugodziła, mówił daléj Brandolaccio. Dwóch braci za dwoma strzałami!..... Gdyby był trzeci strzał, zabiłby niezawodnie papę.. Lecz co za ręka! co za strzelba!...

Mówiąc to opatrzył bandyta rękę Orsa i rozpruł rękaw sztyletem; wkrótce przybiegła mała Chilina i przyprowadziła z sobą konia porucznika.

— No, poruczniku, trzeba ażebyś wsiadł na swego konia, rzekł Brandolacio, trzeba ztąd ruszać.

— Dokąd chcesz abym się udał, rzekł Orso słabym głosem.

— Możesz pan wybiérać: albo do więzienia albo w zarośle, lecz della Rebbia nie zna drogi do więzienia, a zatém w zarośle Stazzona. Ztamtąd wyszlemy małą Chilinę z wiadomością do panny Colomby.

XVI.

Około godziny 12 przybył do Pietranera pułkownik Nevil wraz z swoją córką, służącymi i przewodnikiem. Skoro stanęli przed domem Orsa, Colomba przyjęła ich temi słowy.

» Czy widzieliście państwo mego brata?Potém wypytywała się przewodnika którą drogą jechali i o któréj godzinie wyruszyli z noclegu,i z odpo-

wiedzi, jakie odebrała, pojąć nie mogła, dla czegoby Orsa spotkać nie mieli.

Dręczona niespokojnością wysłała posłańców na wszystkie strony w celu szukania brata, a sama pamiętna na obowiązki gospodyni, przymuszała się do wesołości i starała się wszelkiemi sposobami gościom swoim czas uprzyjemnić.

Kiedy około godziny piątéj żaden z posłańców jeszcze nie powrócił, Colomba zebrała całą swoję odwagę i zaprosiła gości swoich do stołu; wszyscy jednak nie mogli jeść, oprócz pułkownika. Za najmniejszym szelestem na placu, Colomba zrywała się i biegła do okna; potém siadała znowu zasmucona, i starała się ze swemi przyjaciółmi prowadzić rozmowę o obojętnych przedmiotach, na którą nikt uwagi nie zwracał. Nagle usłyszano tętent kopyt końskich:

» To brat mój! zawołała Colomba powstając; lecz kiedy ujrzała Chilinę na koniu Orsa, krzyknęła przeraźliwym głosem » Mój brat nie żyje!”

Pułkownik upuścił szklankę, a miss Nevil krzyknąwszy wybiegła przed drzwi domu. Wprzód nim Chilina zdołała zsiąść z konia, pochwyciła ją Colomba jak piórko i postawiła na ziemi. Dziécię zrozumiało okropny wyraz twarzy Colomby i piérwsze słowo Chiliny było:

» On żyje!

— A tamci? zapytała Colomba ochrzypłym głosem.

Chilina uczyniła ręką znak krzyża i natychmiast śmiertelną bladość Colomby zastąpił żywy rumieniec. Rzuciła wzrok tryumfujący na dom Barricinich i rzekła uśmiechając się do swych gości:

— Teraz powróćmy i wypijmy kawę.

Posłanniczka bandyty długo opowiadać musiała, co już wszystko naszemu czytelnikowi jest wiadomém. Jéj korsykański djalekt przekładała Colomba na prawdziwy włoski, a miss Nevil tłumaczyła to samo ojcu na angielski język.

W końcu Chilina rzekła iż Orso żąda papiéru do pisania i zaleca swéj siostrze aby uprosiła tę damę, która znajduje się zapewne w jego domu, żeby nie oddalała się, dopóki nie odbierze listu od niego. » To zdaje się go najwięcéj obchodzić" dodało dziécię, już byłam w drodze, kiedy przywołał mi; i powtórzył to zlecenie trzeci raz. Colomba uśmiechnęła się i ścisnęła rękę angielki, któréj łzy w oczach stanęły; téj tylko części opowiadania nie wytłumaczyła ona ojcu swojemu.

—Tak jest, moja przyjaciołko, pozostaniesz ze mną, rzekła Colomba całując miss Lidją, będziesz mi dopomagać.

Potem wyjęła z szafy starą bieliznę, pokrajała bandaże, kazała małéj Chilinie skubać szarpie, i prosiła miss Nevil aby pomagała jéj w szyciu bandaży.

Kiedy nadszedł czas spoczynku, pułkownik i jego córka udali się do przeznaczonych

sobie pokoi. Miss Lidja téj nocy spać nie mogła; myślała o biednym rannym, który w téj chwili, leżał zapewne na gołéj ziemi, nie mając innéj pomocy, jak tylko starania, jakich z litościwéj ręki bandyty spodziewać się można. Wyobrażała go sobie zbroczonego krwią i znoszącego okropne cierpienia; lecz to szczególna, że Orso przedstawiał się zawsze w jéj wyobraźni takim, jakim go widziała w chwili jego odjazdu, kiedy przyciskał do ust udzielony mu przez nią talizman. Potém jego bohaterska odwaga zajęła jéj myśli. Mówiła sobie, iż ona była przyczyną strasznego niebezpieczeństwa, którego zaledwie uniknął, albowiem chcąc widzieć ją cokolwiek wcześniéj, naraził swoje życie. O mało nie wytłumaczyła sobie że Orso w jéj obronie dał sobie wyrzutów z powodu jego ran, tém bardziéj go podziwiała; i chociaż nie ceniła tak wysoko tego sławnego strzału, jak Brandolaccio i Colomba, mniemała jednak iż mało bohaterów romansówych pokazałoby tyle

odwagi i zimnéj krwi w tak wielkiém niebezpieczeństwie.

Pokój zajmowany przez nią, był sypialnym pokojem Colomby. Nad pewnym rodzajem klęcznika z drzewa dębowego była zawieszona na murze miniatura Orsa, w mundurze podporucznika. Miss Nevil zdjęła portret, przypatrywała mu się długo, i w końcu zamiast powiesić go na swoje miejsce, położyła przy swojém łóżku. Usnęła dopiéro gdy świtać już zaczęło, i kiedy się przebudziła, słońce było już wysoko na horyzoncie. Przed swojém łóżkiem spostrzegła Colombę, która oczekiwała w milczeniu chwili dopóki ona oczu nie otworzy.

— No cóż! miss Lidjo, jakże znajdujesz nasze biédne mieszkanie? rzekła Colomba.

— Czy masz jakie wiadomości, droga przyjaciółko? odezwała się miss Nevil siadając na łóżku.

Ona spostrzegła portret Orsa i z pośpiechem rzuciła chustkę aby go zakryć.

— Tak jest, mam wiadomości od niego, odpowiedziała Colomba uśmiéchając się; i wziąwszy portret, dodała: — Czy znajdujesz go pani podobnym; mnie się zdaję że piękniejszym jest niżeli tu na portrecie.

— Ah mój Boże!... rzekła miss Nevil zawstydzona, zdjęłam... przez nieuwagę... ten portret... lecz mam taką wadę że wszystko muszę ruszać, i nie położę na swojém miejscu... Jakże się ma brat?

— Dosyć dobrze. Giocanto przyszedł dzisiaj tutaj przed czwartą. Przyniósł list do ciebie miss Lidjo; Orso nie pisał do mnie. Napisał wprawdzie na adresie »do Colomby" lecz niżéj »do miss N...." Ale siostry nie są zazdrośne. Giocanto powiada że pisanie wiele mu cierpienia sprawiło. Oto jest list.

Miss Nevil przeczytała list, który pisany był po angielsku, zapewne przez ostróżność. Treść jego była, następująca:

» Pani” .

» Zrządzeniem losu pogrążony zostałem w nieszczęściu; nie wiem co powiedzą moi nieprzyjaciele, jakie potwarze wymyślą; lecz mało mnie to obchodzi, jeżeli pani do tego wiary przykładać nie będziesz. Od chwili jakem zobaczył panią, żywiłem w sobie nierozsądne marzenia. Trzeba było tego wypadku, abym poznał moje szaleństwo; jestem teraz rozsądny. Wiem jaka przyszłość mię czeka, i jestem przygotowany na wszystko. Na podarowany mi przez panią pierścień, który uważałem za talizman szczęścia, nie śmiem już spojrzéć. Obawiam się abyś pani nie żałowała iż w niegodne ręce złożyłaś dary swoje, albo raczéj obawiam się, ażeby on mi nie przypominał chwil mego obłędu. Colomba ci go zwróci, pani. Wkrótce opuścisz Korsykę, miss Nevil, i już cię więcéj nie zobaczę; powiedz tylko pani mojéj siostrze że posiadam twój szacunek', a ja mo-

gę zapewnić, że ciągle zasługuję na niego.

O. D. R.

Miss Lidja odwróciła się do światła czytając list, a Colomba która wpatrywała się w nią ciągle z uwagą, oddała jéj pierścień pytając się spojrzeniem, co to miało znaczyć. Lecz miss Lidja nie śmiała podnieść oczu i spoglądała ze smutkiem na pierścień, który kładła na palec i zdejmowała napowrót.

—Droga miss Nevil, zapytała Colomba, czy mogę wiedziéć co brat mój pisze? Czy donosi co o swojém położeniu?

— Lecz... rzekła miss Lidja zapłoniwszy się, on nic o tém nie pisze... prosi mnie abym mówiła z moim ojcem... spodziewa się że prefekt będzie mógł załatwić...

Colomba uśmiéchając się złośliwie, siadła na łóżku, wzięła za obie ręce miss Nevil i spoglądając na nią przenikliwie:

— Pani będziesz tak dobrą? rzekła. Wszakże prawda, pani mu odpiszesz. To mu wiel-

ką sprawi przyjemność. Z początku miałam zamiar zaraz cię obudzić, jak tylko list przyniesiono, lecz nie śmiałam.

—Toś źle zrobiła, kochana Colombo odpowiedziała miss Nevil;jeżeli kilka słów ode mnie..

— Teraz nie mogę przesłać listu. Prefekt przybył do Pietranera, mnóstwo jest jego ludzi. Późniéj pomyślę o tém. Ah, gdybyś znała mego brata , kochałabyś go tak , jak ja go kocham. On jest tak dobry! tak odważny! Zwarz pani tylko! sam jeden przeciw dwóm, i do tego ranny!

Ponieważ prefekt zawiadomiony został przez umyślnego posłańca o tém co się wydarzyło w Pietranera, przybył więc w towarzystwie żandarmów, królewskiego prokuratora i sekretarza aby mógł zaraz rozpocząć śledztwo z powodu nowego i okropnego wypadku, który bardziéj zawikłał, albo raczéj położył koniec nieprzyjaznym stosunkom dwóch rodzin rywalizujących. Wkrótce po swém przybyciu, widział się z pułkownikiem Nevil i jego córką i nie ukrywał przed nie-

mi iż obawiał się aby sprawa ta nie wzięła złego obrotu. — Walka odbyła się bez świadków, mówił, odwaga i zręczność tych dwóch młodzieńców znane są w całej okolicy i nikt nie chce wierzyć, aby pan della Rebbia mógł zabić ich bez pomocy bandytów u których, jak powiadają, miał szukać schronienia.

— To niepodobna! zawołał pułkownik. Orso della Rebbia jest młodzieniec pełen honoru: ja ręcze za niego.

— Ja wierzę, rzekł prefekt, lecz prokurator królewski jest źle uprzedzony. On ma w swoich rękach dowód szkodliwy dla pańskiego przyjaciela, to jest list grożący Orlanducciowi, którym on go wzywa na miejsce przez siebie wskazane... prokuratorowi zdaje się że to była zasadzka.

— Ten Orlanducio nie chciał pojedynkować się jak człowiek honoru, rzekł pułkownik.

—Pojedynek nie jest znany tutaj. Robią zasadzki, zabijają się zdradziecko, taki zwyczaj

w tym kraju. Jedno jest wprawdzie ważne zeznanie, to jest dziewczynki, która twierdzi iż słyszała cztéry wystrzały, z których dwa ostatnie, mocniejsze od piérwszych, każą domyślać się broni większego kalibru, jaką jest fuzja pana della Rebbia. Na nieszczęście dziewczynka ta jest synowicą jednego z bandytów, na których pada podejrzenie o spólnictwo.

— Panie Prefekcie, przerwała miss Lidja zapłoniwszy się, myśmy byli wtenczas w drodze i słyszeliśmy takie same strzały.

— W istocie? To jest ważném. Pan pułkownik to samo uważał także zapewne?

— Tak jest, odpowiedziała żywo miss Nevil; mój ojciec zaraz zawołał: oto pan della Rebbia strzela z mojéj fuzji.

— Lecz czy te strzały, po których poznałeś pan swoję fuzją były ostatnie?

— Dwa ostatnie, wszakże prawda mój ojcze?

Pułkownik nie miał dobréj bardzo pamięci lecz w każdym przypadku nie miał zwyczaju przeczyć swojéj córce.

— Trzeba natychmiast donieść o tém prokuratorowi królewskiemu, panie pułkowniku. Dzisiaj wieczorem lekarz obejrzy trupów i sprawdzi czy rany zadane były zbroni o którą chodzi.

XVII.

Colomba błagała pułkownika ażeby przytomny był sekcji trupów.

—Pan znasz lepiéj, niż kto inny fuzją mojego brata, rzekła, dla tego obecność pana będzie bardzo użyteczna. A nadto, tyle jest złych ludzi tutaj, że na wielkie bylibyśmy narażeni

niebezpieczeństwo, gdyby nikt nie chciał bronić naszéj sprawy.

Pozostawszy sama, miss Lidją użalała się iż cierpi ból głowy i prosiła ją, aby udały się razem na małą przechadzkę na około wioski. — Świéże powietrze wyleczy mię rzekła, już tak dawno niém nie oddychałam. Po drodze mówiła jéj o swoim bracie, a miss Lidja, którą przedmiot ten dosyć żywo zajmował, nie uważała iż znacznie od Pietranera oddaliły się. Słońce już zachodziło, kiedy zrobiła to spostrzenie i zaczęła namawiać Colombę do powrotu; Colomba odpowiedziała iż powrócić mogą daleko krótszą drogą, która znana jest jéj bardzo dobrze, i mówiąc to weszła na ścieszkę na pozór daleko mniéj uczęszczaną. Wkrótce zaczęła wdzierać się na tak stromą wyniosłość ziemi, iż chcąc utrzymać się przymuszoną była chwytać jedną ręką za gałęzie drzew, gdy tymczasem drugą ręką wspierała swoję towarzyszkę. Po kwadransie tak przykréj przeprawy stanęły szczycie na małego pa-

górka okrytego myrtami i innemi niskiemi krzewami. Miss Lidja bardzo była znużoną: wieś nie pokazywała się, już a noc prawie była.

— Czy wiesz, moja droga Colombo, rzekła, iż obawiam się abyśmy nie zbłądziły.

— Nie obawiaj się kochana miss Lidjo, odpowiedziała Colomba; idźmy tylko naprzód.

— Lecz zapewniam cię, że się mylisz; wieś nie może być w téj stronie. Założyłabym się iż jest za nami. Patrz, te światła, które widzimy tak daleko, bezwątpienia to jest Pietranera.

— Moja droga przyj ciółko, rzekła Colomba ze wzruszeniem, masz słuszność; lecz o sto kroków ztąd... w tém zaroślu...

— I cóż?

— Mój brat jest tam; mogłabym go widzieć i uściskać gdybyś chciała.

Miss Nevil spojrzała na nią z zadziwieniem.

— Wyszłam z Pietranera i nikt na mnie nie uważał, mówiła daléj Colomba, ponieważ byłam z tobą miss Lidjo... w przeciwnym razie śledzonoby mnie... Być tak blisko nie go i nie widziéć go?!... Lecz dla czegóż nie miałabyś wraz ze mną odwiédziéć mego biédnego brata? On byłby tak szczęśliwy!

— Lecz, Colombo... to nie byłoby przyzwoicie z méj strony.

— Rozumiem. Wy kobiéty miejskie troszczycie się zawsze o to, co jest przyzwoitém; my zaś wieśniaczki myślemy tylko o tém, co jest dobrém.

— Lecz już jest tak późno!... Cóżby twój brat pomyślał o mnie?

— On myśléć będzie że nie opuścili go jego przyjaciele i to mu doda odwagi w teraźniejszych jego cierpieniach.

— Lecz mój ojciec, będzie niespokojny.....

— On wié że jesteśmy razem..... A więc! nie namyślaj się długo miss Lidjo... Przy-

patrywałaś się dzisiaj rano jego portretowi, dodała ze złośliwym uśmiechem.

— Nie... prawdziwie, Colomba, nie śmiem.. ci bandyci, którzy tam są...

— Ci bandyci nie znają cię wcale, miss Nevil... Lecz trzeba wziąść stałe postanowienie. Idźmy odwiedzieć Orsa, albo powróćmy razem do wsi; gdyż sama tu nie możesz zostać... Bóg wié kiedy zobaczę mojego brata... może nigdy...

— Ach, co mówisz Colombo?!... A więc idźmy! Lecz na minutę tylko, i powrócimy natychmiast.

Colomba ścisnęła ją za rękę i nic nie odpowiedziawszy zaczęła iść z taką szybkością że miss Nevill zaledwie wystarczyć jéj mogła. Szczęściem że Colomba zatrzymała się wkrótce i zaczęła gwizdać przez palce; natychmiast słyszéć się dało psa szczekanie, i nie długo potém pokazał się dawno znajomy nam już pies Brusco, który poznał zaraz Colombę i podjął się jéj być przewodnikiem. Szły przez niejaki czas manowcami, i ujrza-

ły przed sobą nareszcie dwóch ludzi uzbrojonych od stóp do głów.

— To ty, Brandolacio? zapytała Colomba. Gdziesz jest mój brat?

— Tam, na dole! odpowiedział bandyta. Idźcie po cichu, gdyż usnął pierwszy raz od wiadomego wam wypadku. Lecz prawda! gdzie djabół dostać się nie może, tam dostanie się jeszcze kobiéta!

Dwie kobiéty zbliżyły się z ostróżnością i ujrzały przy ognisku, ukrytém za murem z suchych kamieni, śpiącego Orsa na kupie paproci. Był nadzwyczaj blady i słyszéć można było jego ciężki oddech. Colomba usiadła przy nim i wpatrywała się w niego w milczeniu, złożywszy ręce, jakby modliła się gorąco. Miss Nevil zakrywszy twarz chustką przyci snęła się do niéj; lecz niekiedy podnosiła głowę, aby ujrzéć rannego przez ramie Colomby. Przez kwadrans nikt ust nie otworzył. Na znak dany przez doktora, brandolaccio udał się z nim w zarośla, z wielkiém zadowoleniem miss Lidji, która pierwszy

raz zrobiła to spostrzeżenie, że siwe brody i strój bandytów mają zanadto wiele kolorytu miejscowego. Nareszcie Orso przebudził się. Natychmiast Colomba nachyliła się ku niemu, i uściskawszy go kilka razy zarzucała go pytaniami o jego ranach, cierpieniach i potrzebach. Orso odpowiedziawszy jéj iż znajduje się, o ile być może, w najlepszym stanie, zapytał się jéj z swéj strony, czy miss Nevil znajduje się jeszcze w Pietranera, i czy pisała do niego. Colomba pochylona nad bratem zakrywała zupełnie swoję towarzyszkę, którą i tak z powodu ciemności nie mógłby poznać. W swéj jednéj ręce trzymała rękę miss Nevil, a drugą wspiérała głowę rannego.

— Nie, mój bracie, ona nie dała mi listu do ciebie... lecz ty myślisz ciągle o miss Nevil, ty ją więc kochasz.

— Czy ją kocham, Colombo!... Lecz ona:... ona pogardza mną teraz.

W téj chwili, miss Nevil chciała cofnąć swą rękę, lecz nie łatwo było wymknąć się Colombie; albowiem ręka jéj, chociaż mała i kształtna posiadała moc nadzwyczajną.

—Ona miałaby tobą pogardzać! zawołała Colomba; po tém, cóżeś uczynił..... Przeciwnie, ona dobrze mówi o tobie... Ach! Orso, wiele miałamby ci o niéj powiedziéć.

Ręka ciągle usiłowała wymknąć się, lecz Colomba przysuwała ją coraz bliżéj do Orsa.

— Jednakże, dla czegóż nie odpisała, rzekł ranny,... jeden tylko wiérsz, a byłbym szczęśliwy!

Colomba ciągle przyciągając rękę miss Nevil, złączyła ją wkońcu z ręką swego brata; natenczas odskakując na bok z głośnym śmiéchem, zawołała:

— Orso, strzeż się źle mówić o miss Lidji, gdyż ona rozumié dobrze po korsykańsku.

Miss Lidja cofnęła natychmiast swą rękę i wyrzekła kilka słów niezrozumiałych. Orsowi zdawało się że marzył.

— Pani tutaj, miss Nevil! Mój Boże jakże pani ośmieliłaś się! —Ach jakżem szczęśliwy!

I podniosłszy się z trudnością, usiłował przybliżyć się do niéj.

— Towarzyszyłam siostrze pana, rzekła miss Lidja, ażeby nie domyślano się gdzie idzie... a nadto, chciałam także... zapewnić się ....Niestety! że panu tak nie dobrze tutaj!

Colomba usiadła obok Orsa i podniosła go ostróżnie w taki sposób, iż położyła głowę jego na swych kolanach. Ręką objęła go za szyję i dała znak miss Lidji aby się przybliżyła. — Bliżéj, jeszcze bliżéj! rzekła; nie trzeba ażeby chory bardzo głośno mówić musiał. A ponieważ miss Lidja wahała się, wzięła ją więc za rękę, i przymusiła aby usiadła tak blisko, że suknia jéj dotykała się Orsa, a ręka spoczywała na ramieniu rannego.

— Tak jest nam bardzo dobrze, rzekła Colomba wesoło. Wszakże prawda, Orso, że przyjemnie być w zaroślach, podczas tak pięknéj nocy, jak dzisiejsza?

— Ach, tak jest! piękna noc, rzekł Orso. Nigdy o niéj nie zapomnę!

—Jakże pan mocno cierpiéć musisz, rzekła miss Nevil.

— Ja nie ciérpię wcale, odpowiedział Orso, chciałbym umrzéć tutaj. I jego prawa ręka zbliżyła się do ręki miss Nevil, którą trzymała ciągle Colomba.

— Trzeba koniecznie aby przeniesiono pana w takie miejsce, gdzieby można miéć o panu staranie, panie della Rebbia, rzekła miss Lidja. Nie będę spać mogła teraz, kiedy wi działam pana na takiém posłaniu... pod gołém niebem...

— Gdybym nie obawiał się był spotkać panią, starałbym się powrócić do Pietranera, i byłbym stawił się sam do więzienia.

— Lecz dla czego obawiałeś się spotkać miss Lidją? Zapytała Colomba.

—Byłem nieposłuszny pani, miss Nevil... i nie śmiałbym stanąć przed panią nawet w téj chwili.

— Czy wiész, miss Lidjo, że możesz robić z moim bratem, co ci się podoba, rzekła Colomba śmiejąc się. Nie pozwolę ci go widywać.

— Spodziéwam się, rzekła miss Nevil, że ta nieszczęsna sprawa wyjaśni się, i że wkrót-

ce nie będziesz pan potrzebował niczego się obawiać... Sprawi mi to wielką przyjemność, gdy się dowiem przed naszym odjazdem, że panu oddano sprawiedliwość, i uznano nie tylko pańską odwagę ale i prawość postępowania

— Pani odjeżdżasz! Ach, niech pani nie mówi tego jeszcze.

— Lecz jakże... mój ojciec niemoże ciągle polować..., chce odjeżdżać.

Orso opuścił rękę, która spoczywała obok ręki miss Lidji, i przez chwilę panowało milczenie.

— Ale to niepodobna! odezwała się Colomba, my nie pozwolemy jeszcze na odjazd. Mamy jeszcze wiele rzeczy do pokazania w Pietranera...A nadto, obiecałaś, miss Lidjo, zrobić mój portret, a jeszcze nie zaczęty nawet... Oprócz tego obiecałam zrobić serenadę ... Lecz dla czegóż to Brusco warczy ?... ... Ach, oto Brandolaccio bieży za nim... Zobaczemy co to takiego.

Zerwała się natychmiast i położywszy bez ceremonji głowę Orsa na kolanach miss Nevil pobiegła naprzeciwko bandytów.

Miss Nevil cokolwiek zdziwiona widząc się sam na sam w zaroślach z pięknym młodzieńcem, którego głowę utrzymywała na kolanach, nie wiedziała co czynić, gdyż obawiała się, aby przez nagłe oddalenie się nie zrządziła cierpienia rannemu. Lecz Orso sam opuścił miłą podporę, którą zostawiła mu jego siostra i podnosząc się na prawéj ręce, rzekł:

— A tak, pani odjeżdżasz wkrótce, miss Lidjo? nigdy nie myślałem abyś pani przedłużyć miała swój pobyt, w tym nieszczęśliwym kraju... a jednak... od chwili jakeś pani tu przyszła, ciérpię bez porównania więcéj, kiedy wspomnę że trzeba panią pożegnać..... Jestem biédnym porucznikiem tylko... bez żadnych nadziei na przyszłość... obecnie przymuszony ukrywać się jak zbrodniarz... Co za chwila, miss Lidjo, aby wyznać pani że ją kocham... lecz bezwątpienia to jedyna sposobność, w któréj mogę uczynić pani to wyznanie, a zdaję mi się, że mniéj jestem nieszczęśliwy teraz, kiedy ulżyłem mojemu sercu.

Miss Lidja odwróciła głowę, jakby ciemność nie wystarczającą była do ukrycia jéj pomięszania: — Panie della Rebbia, rzekła głosem drżącym, czyliżbym przyszła w to miejsce, gdyby... i mówiąc to włożyła na rękę Orsa talizman egipski. Potém przezwyciężywszy się przybrała zwykły sobie ton żartobliwy i rzekła: — To wcale nie pięknie z twéj strony, panie Orso, że mówisz do mnie w ten sposób, wśród zarośli i bandytów, gdyż wiesz że nie śmiałabym gniewać się na ciebie.

Orso podniósł się chcąc ucałować rękę, która mu dała pierścień; lecz ponieważ miss Lidja cofnęła ją cokolwiek za prędko, stracił równowagę i upadł na zranioną rękę. Nie mógł wstrzymać boleśnego westchnienia.

— Uraziłeś się, mój przyjacielu? zawołała podnosząc go; to moja wina! przebacz mi pan .... Mówili z sobą jeszcze przez niejaki czas po cichu, będąc ciągle bardzo blisko siebie. Colomba przybiegłszy nagle znalazła ich w takiéj samej postawie, w jakiéj ich pozostawiła.

— Milicja! zawołała. Orso, sprobój podnieść się i iść, ja ci pomagać będę.

— Zostawcie mnie, odpowiedział Orso, powiédz bandytom ażeby uciekali... niechaj mnie wezmą, mniejsza o to; lecz uprowadź miss Lidją: na imie Boga, niech ją tu nie zobaczą.

—Ja nie zostawię pana rzekł Brandolaccio, który przyszedł wkrótce za Colombą. Sierżant milicji jest krewnym adwokata, on nie przytrzyma pana, lecz zabije, i powié potém, że to zrobił przypadkiem.

Orso podniósł się zaledwie, i zrobił nawet kilka kroków; lecz zatrzymawszy się nagle rzekł:

— Ja nie mogę iść. Wy uciekajcie. Żegnam cię miss Nevil; podaj mi pani rękę.

— My cię nie opuściemy! zawołały obie kobiéty.

— Kiedy pan nie możesz iść, rzekł Brandolaccio, trzeba więc żebym cię zaniósł. No, mój poruczniku, trochę odwagi; będziem mieli czas umknąć przez wąwóz. Tymczasem doktór zabawi ich cokolwiek.

—Nie, pozostawcie mię, rzekł Orso kładąc się na ziemi. Na Boga, Colombo, odprowadź miss Nevil.

—Pani jesteś silna, panno Colombo, rzekł Brandolaccio, weź go pani za ramiona, a ja wezmę za nogi; tak, dobrze! dalej, naprzód!

Nieśli go w ten sposób przez niejaki czas manowcami, z taką szybkością, że miss Lidja zaledwie zdążyć mogła za niemi. Wkrótce usłyszeli strzały; niespokojność ich powiększyła się jeszcze, gdyż zaczęło im już sił brakować. Na szczęście Colomba spostrzegła konia, który pasł się w zaroślach; Brandolaccio schwytał go natychmiast, uwiązał linkę zamiast uzdy, i wziąwszy Orsa przed siebie ruszył galopem. Colomba uszczęsliwiona iż brat został już ocalony, chciała jak najśpieszniéj odprowadzić miss Lidją do domu, lecz obejrzawszy się nigdzie jéj nie widziała. Łatwo wyobrazić sobie jéj pomięszanie; zaczęła biegać po zaroślach, szukać i wołać głośno swoję towarzyszkę. Lecz obawa jéj nie długo trwała, gdyż wkrótce ujrzała miss Nevil prowadzoną przez żołnierzy, którzy znaleźli ją leżącą na ziemi, na pół umarła ze strachu. Uradowana tym niespodzianym widokiem, pobiegła uściskać swoję przyjaciółkę, i obiedwie odprowadzone zostały do Pietranera.

Prefekt i prokurator królewski obrali zamieszkanie w domu adjunkta w Pietranera; pułkownik mocno niespokojny o swoję córkę, dwadzieścia już razy przysyłał był, chcąc powziąść od nich iaką w tym względzie wiadomość, gdy żołniérz z milicji, wysłany przez sierżanta, zdał tym dwom urzędnikom raport o strasznéj walce, w któréj po prawdzie nie było ani poległych ani rannych, lecz zdobyto, jak żołnierz powiadał, garnek, kobierzec i dwie dziewczyny, kochanki bandytów. W ten sposób oznajmione, pokazały się dwie niewolnice wśród zbrojnéj swéj eskarty. Łatwo wyobrazić sobie wesołą postawę Colomby, wstyd jéj towarzyszki, zadziwienie prefekta, radość i zdumienie pułkownika. Prokurator królewski zrobił sobie tę złośliwą przyjemność, iż odbył z miss Lidją pewien rodzaj badania, które skończyło się dopiéro wtenczas, kiedy widział iż ona zupełnie przytomność straciła.

— Zdaję mi się, rzekł prefekt, że można wszystkich uwolnić. Te panny poszły na przechadzkę, nic naturalniejszego, podczas tak pięknéj pogody; spotkały przypadkiem przyjemnego młodzieńca ranionego i to rzecz bardzo naturalna. Potém wziąwszy Colombę

na stronę, rzekł: — Panna możesz donieść swojemu bratu, że sprawa jego lepszy obrót wzięła, niżeli się nawet spodziewałem. Z opinji chirurga i zeznania pułkownika okazuje się, że on tylko bronił się, i że sam jeden był w chwili walki. Wszystko załatwi się, lecz trzeba ażeby brat natychmiast opuścił zarośla i sam stawił się przed sądem.

Już była dziesiąta prawie, kiedy pułkownik, jego córka, i Colomba zasiedli do ostygłéj kolacji. Colomba jadła smaczno, żartując z prefekta, prokuratora królewskiego i milicji. Pułkownik jadł, lecz nic nie mówił, spoglądając często na swoję córkę, która ciągle wlepione miała oczy w talérz. Nakoniec rzekł po angielsku głosem słodkim lecz poważnym:

— Lidjo, jak widzę masz stosunki z panem della Rebbia?

— Tak jest, mój, ojcze, dopiéro od dzisiaj, odpowiedziała zapłoniwszy się, lecz głosem pewnym!

Potém podniosła oczy i nie widząc na twarzy ojca oznaki gniewu lub nieukontentowania, rzuciła się w jego objęcia i uściskała go, jakby to uczyniła każda panna dobrze wychowana w podobnéj okoliczności.

—Wybornie, rzekł pułkownik, to dzielny chłopiec; lecz na Boga! nie będziemy mieszkać w jego djabelskim kraju! gdyż cofnę moje zezwolenie.

—Nie umiem po angielsku, rzekła Colomba spoglądając na nich z nadzwyczajną ciekawością;lecz założyłabym się i z odgadłam, o czém mowa.

—My mówiemy, odpowiedział pułkownik,że wkrótce pojedziemy razem do Irlandji.

—Zgoda, a ja będę surella Colomba, wszakże prawda, pułkownika? Uderzmy w ręce na zgodę.

— W takim przypadku uściskać się należy.

W kilka miesięcy po wypadkach opowiedzianych w poprzednim rozdziale, pułkownik Sir Thomas Nevil, jégo córka zamężna od kilku dni, Orso i Colomba wyjechali w powozie z Pizy, w celu zwiedzenia grobowca etruskiego, świéżo odkrytego. Skoro przybyli na miejsce, Orso wraz z żoną zajął się rysowaniem; a pułkownik i Colomba, oboje nie wiele znajdując upodobania w starożytnościach, przechadzali się po okolicy.

— Moja droga Colombo, rzekł pułkownik,

sądzę że nie prędko powrócimy do miasta Tobie się jeść chce zapewne? A kiedy Orso i żona jego zaczęli rysować, to nie skończą już tak prędko. Mojem więc zdaniem jest, abyśmy poszli do tego folwarku na dole; dostaniem tam cóś przecie do zjedzenia i będziemy oczekiwać cierpliwie na naszych rysowników.

— Masz słuszność pułkowniku. My oboje jesteśmy ludźmi rozsądnemi, i bardzobyśmy błądzili, gdybyśmy chcieli robić się męczennikami tych zakochanych, którzy żyją tylko poezją. Podaj mi rękę pułkowniku. Wszakże prawda, że zaczynam się kształcić? Noszę kapelusze, suknie modne, mam klejnoty; uczę się wielu pięknych rzeczy; nie jestem już wcale dziką dziewczyną. Patrzono pułkownik z jakiém wdziękiem kładę ten szal... Ten blondyn, oficer, który był na ślubie... mój Boże, nie mogę spamiętać jego nazwiska;... ten wysoki chłopiec fryzowany, którego powaliłabym jedném pchnięciem na ziemię.

— Chatwort? rzekł pułkownik.

— Tak, tak! lecz nie potrafię tego nigdy wymówić. A więc on szaleje za mną...

—Ach Colombo, jak widzę zostałaś kokietiką... będziemy mieli wkrótce drugi ślub.

— Ja mam iść za mąż? A któżby wychował mojego siostrzeńca.. jak go będę miała; kto go nauczy mówić po korsykańsku?... Bo on będzie mówił po korsykańsku i będzie nosił spiczastą czapkę na przekór tobie pułkowniku.

Rozmawiając w ten sposób weszli do folwarku, gdzie znaleźli wino, poziomki i śmietanę. Colomba pomagała dzierżawczyni zbierać poziomki, a pułkownik pił aleaticco. Na zakręcie alei, Colomba spostrzegła starca siedzącego na plecionym stołku, chorego, jak się zdawało, gdyż miał oczy i policzki zapadłe i nadzwyczaj był wynędzniały; jego nieruchoma postawa, jego śmiertelna bladość i wzrok osłupiały czyniły go podobnym raczéj do trupa, niżeli do żyjącéj istoty. Przez kilka minut Colomba spoglądała na niego z taką ciekawością, że dzierżawczyni zwróciła na to swoję uwagę. — To biédny starzec, rzekła, ziomek pani, gdyż poznaję z mowy że pani także jest Korsyki. On wiele doznał nieszczęść w swoim kraju; utracił dzieci okropną śmiercią. Utrzymuje go teraz daleka krewna, która jest właścicielką tego folwarku. Ten poczciwy człowiek ma cokolwiek pomie-

szane zmysły...lecz sądzę że to go rozweseli, jeżeli pani z nim pomówi cokolwiek po korsykańsku.

—Zobaczemy, rzekła Colomba z uśmiéchem ironicznie; zbliżyła się do starca, tak że cień jéj padał na niego. Natenczas biédny warjat podniósł głowę i spojrzał błędnemi oczyma na Colombę, która patrzała ciągle na niego z uśmiéchem. Po chwili starzec położył rękę na czole i zamknął oczy, jakby chciał uniknąć spojrzeń Colomby. Potém otworzył je znowu; usta jego zadrżały i chciał wyciągnąć rękę; lecz spojrzenie Colomby odjęło mu wszelkie władze, nie mógł ani słowa wymówić, ani się poruszyć nawet. Nakoniec oczy jego zalały się łzami, i kilka westchnien wydobyło się z piersi jego.

— To piérwszy raz widzę go w takim stanie,rzekła ogrodniczka.—Ta panna jest korsykanką, przyszła odwiédzieć pana, rzekła do starca.

—Łaski! zawołał tenże głosem ochrzypłym, łaski! Czyliż nie jesteś zadowoloną? Ten papiér, który spaliłem... jakżeś mogła przeczytać?... Lecz dla czego obydwóch? Orlanducio... nie wyczytałeś nic przeciwko niemu.....

Trzeba było mi zostawić jednego tylko... Orlanduccio...

—Dwóch trzeba mi było, rzekła Colomba po cichu w korsykańskim djalekcie. Gałęzie są obcięte, gdyby pień nie był zgniły, sama bym go zniszczyła. Nie narzekaj, nie będziesz długo cierpiał. Ja cierpiałam dwa lata!

Starzec wydał krzyk i głowa jego spadła na piersi. Ogrodniczka przybiegła ratować starca, a Colomba powróciła do pułkownika i siadła do stołu z rozognioném licem i pałającemi oczyma.

—Co ci jest? zapytał pułkownik, wyglądasz tak samo jak w dniu tym kiedy doniesiono o śmierci Barricinich?

—To wspomnienia Korsyki przyszły mi do myśli. Lecz już wszystko minęło.

Ogrodniczka przybliżyła się w téj chwili.—No cóż!zapytała Colomba z najzimniejszą krwią czy umarł, czy zemglał tylko?

—To nic, już przyszedł do siebie, lecz to rzecz szczególna, jaki skutek zdziałał na nim wzrok pani.

— O kimże mówisz? zapytał pułkownik.

— O jednym warjacie, moim ziomku, odpowiedziała Colomba obojętnie, który znajduje się w tym folwarku. Lecz, pułkowniku zostaw poziomek dla mojego brata i Lidji.

Kiedy Colomba wyszła z folwarku i wsiadła do pojazdu, dzierżawczyni spoglądała za nią przez niejaki czas:—Czy, widzisz tę pannę,tak piękną, rzekła do swéj córki, jestem pewna że ona ma złe oko.

KONIEC TOMU XII I OSTATNIEGO.